



ANDREA
STEWART
CÓRKA
KOŚCI

PRZEŁOŻYŁ
PIOTR KUCHARSKI

ILUSTRACJE
DOMINIK BRONIEK

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA

CYKL TONAĆCE CESARSTWO



CÓRKA KOŚCI
CESARZOWA KOŚCI
WOJNA KOŚCI



1

LIN

WYSPA CESARSKA

Ojciec powiedział mi, że jestem wybrakowana. Nie wysłowił swojego rozczarowania, gdy odpowiedziałam na jego pytanie. Ale wygłosił to zmrużonymi oczyma, wciągając i tak już zapadnięte policzki, a lewy kącik jego ust opadł lekko, co zostało niemal całkowicie zamaskowane przez brodę.

Sam nauczył mnie, jak z czyjejś twarzy odczytywać emocje. I wiedział, że umiem rozpoznawać takie oznaki. Zatem było tak, jakby wyrzekł to głośno.

Pytanie: Z kim najbliższej przyjaźniłaś się w dzieciństwie?

Moja odpowiedź: Nie wiem.

Prędkością biegu potrafiłam dorównać lecącemu wróbelowi, liczyłam posługiwałam się równie biele jak najlepsi rachmistrze cesarstwa i potrafiłam wymienić wszystkie znane wyspy w czasie potrzebnym do tego, by herbata skończyła się zaparzać. Nie potrafiłam jednak przypomnieć sobie swojej przeszłości sprzed choroby. Czasami miałam wrażenie, że nigdy jej sobie nie przypomnę, że tamta dziewczyna została utracona.

Ojciec zmienił pozycję na fotelu, a następnie odetchnął przeciągle. W palcach trzymał mosiężny klucz, którym stuknął o blat stołu.

– Jak mogę powierzać ci moje sekrety? Jak mogę ci ufać jako mojej dziedziczce, jeśli nie wiesz, kim jesteś?

Wiedziałam, kim jestem. Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Wykrzyczałam te słowa w głowie, ale nie wypowiedziałam ich. W przeciwieństwie do ojca utrzymałam neutralny wyraz twarzy, ukryłam myśli. Czasami lubił, gdy stawiałam w swojej obronie, ale to nie była jedna z tych sytuacji. Zresztą jak zawsze, gdy chodziło o moją przeszłość.

Z całych sił powstrzymywałam się, żeby nie patrzeć na klucz.

– Zadaj mi inne pytanie – rzekłam. Wiatr uderzał w okiennice, niosąc ze sobą oceaniczny zapach soli i wodorostów. Połaskotał mnie w kark, a ja powstrzymałam wzdrygnięcie. Nie przerywałam kontaktu wzrokowego w nadziei, że w mojej duszy ojciec dostrzeże stal, a nie strach. W powiewach wyczuwałam smak buntu równie wyraźnie, jak woń ryb fermentujących w kadziach. Był tak oczywisty, tak gęsty. Gdybym tylko dysponowała środkami, mogłabym wszystko naprawić. Gdyby tylko pozwolił mi tego dowiedzieć.

Stuk.

– W porządku – odparł ojciec. Znajdujące się za nim kolumny z drzewa tekowego tworzyły ramę dla jego pomar-

szzonego oblicza, sprawiając, że wyglądał bardziej jak zło-wieszczy portret niż żywy człowiek. – Obawiasz się morskich węży. Dlaczego?

– W dzieciństwie jeden z nich mnie ugryzł.

Przyglądał się mojej twarzy. Wstrzymałam oddech. Wypuściłam. Splotłam palce, a później zmusiłam się do spokoju. Gdybym była górą, ojciec podążałby wzdłuż korzeni jałowców chmurowych, skuwałby skałę, szukając białego, kredowego rdzenia.

I znalazłby go.

– Nie okłamuj mnie, dziewczyno – warknął. – Nie zgaduj. Może i pochodzisz z mojej krwi i kości, ale na następcę tronu mogę mianować mojego przybranego syna. To nie musisz być ty.

Chciałabym pamiętać. Czy ten człowiek kiedykolwiek pogładził mnie po włosach i pocałował w czoło? Czy kochał mnie, zanim zapomniałam, kiedy jeszcze byłam cała i niewybrakowana? Żałowałam, że nie było nikogo, kogo mogłabym zapytać, kto mógłby mi dać odpowiedzi.

– Wybacz. – Skłoniłam głowę. Czarne włosy zasłoniły mi oczy i wtedy ukradkiem zerknęłam na klucz.

Większość drzwi w pałacu było zamykanych. Ojciec kuśtykał od pomieszczenia do pomieszczenia i stosował magię kości, żeby tworzyć cuda. Magię, której potrzebowałam, jeśli miałam rządzić. Zdobyłam sześć kluczy. Bayan, jego przybrany syn, miał ich siedem. Czasami odnosiłam wrażenie, jakby całe moje życie stanowiło test.

– W porządku – odparł ojciec. Oparł się na fotelu. – Możesz odejść.

Wstałam, żeby wyjść, ale się zawahałam.

– Kiedy nauczysz mnie magii kości? – Nie czekałam na jego odpowiedź. – Mówisz, że możesz mianować Bayana swoim dziedzicem, ale dotąd tego nie zrobiłeś. To ja wciąż

jestem dziedziczką i muszę wiedzieć, w jaki sposób kontrolować konstrukty. Mam dwadzieścia trzy lata, a ty... – Przerwałam, bo nie miałam pojęcia, ile miał lat. Na grzbietach jego dłoni widniały plamy wątrobowe, a włosy nabrały barwy stalowej szarości. Nie wiedziałam, ile jeszcze pożyje. Potrafiłam jedynie wyobrażać sobie przyszłość, w której zmarł i zostawił mnie bez wiedzy. Bez sposobu na ochronę cesarstwa przed Alanga. Bez wspomnień ojca, który był troskliwy.

Zakaszłał, tłumiąc ten odgłos rękawem. Przesunął wzrok na klucz.

– Gdy będziesz całą osobą – powiedział łagodnie.

Nie rozumiałam go, dostrzegałam w nim jednak jakąś bezbronność.

– A co, jeśli nigdy nie stanę się całą osobą?

Popatrzył na mnie i smutek widoczny w jego oczach wgrzyzł się w moje serce. Miałam wspomnienia z ostatnich pięciu lat, wcześniej zalegała jedynie mgła. Może i czułabym, że straciłam coś cennego, gdybym tylko wiedziała, co to było.

– Ojczy, ja...

Rozległo się stukanie do drzwi. Ojciec znów stał się zimny jak kamień.

Bayan wślizgnął się do środka, nie czekając na odpowiedź, a ja miałam ochotę go przekląć. Kroczył cicho, garbiąc się. Gdyby był kimkolwiek innym, uznałabym, że w jego krokach objawia się wahanie, ale Bayan sprawiał wrażenie kota – ostrożnego i drapieżnego. Na tunikę narzucił skórzaną fartuch, a dłonie plamiła mu krew.

– Zakończyłem modyfikację – oznajmił. – Prosiłeś, żebym przyszedł do ciebie od razu, gdy to zrobię.

Za jego plecami kuśtykał konstrukt, stukając maleńkimi kopytkami o podłogę. Wyglądał jak jeleni, tylko miał kły wystające z pyska i zakrzywiony małpi ogon. Z barków wyrastały mu dwa małe skrzydła, a futro wokół nich było zlane krwią.

Ojciec obrócił się w fotelu i położył dłoń na grzbiecie stworzenia, które spojrzało na niego wielkimi, wilgotnymi oczyma.

– Niechłujnie – skomentował. – Ilu odłamków użyłeś, żeby osadzić polecenie śledzenia?

– Dwóch – odparł Bayan. – Jednego, by skłonić konstrukt, żeby mnie śledził, a drugiego, żeby się zatrzymywał.

– Powinien wystarczyć jeden – rzekł ojciec. – Chodzi tam, gdzie ty, chyba że polecisz mu, by tego nie robił. Język jest omówiony w pierwszej książce, jaką ci dałem. – Chwycił za jedno ze skrzydeł i pociągnął. Gdy je puścił, powoli opadło do boku konstrukt. – Niemniej konstrukcję wykonałeś doskonale.

Bayan przesunął wzrok na mnie, a ja wytrzymałam jego spojrzenie. Żadne z nas nie spuszczało oczu. Odwieczna rywalizacja. Miał tęczówki czarniejsze nawet niż moje, a gdy wydymał wargi, podkreślało to jedynie pełny kształt jego ust. Przypuszczałam, że nigdy nie będę tak piękna jak on, ale byłam przekonana, że jestem od niego mądrzejsza, a tylko to miało tak naprawdę znaczenie. Bayan nigdy nie starał się ukrywać uczuć. Obnosił się z pogardą wobec mnie, jak dziecko chwające się wszystkim ulubioną muszlą.

– Spróbuj jeszcze raz z nowym konstruktem – polecił ojciec, a Bayan oderwał ode mnie wzrok. Ach, wygrałam ten konkursik.

Ojciec wsunął palce w bestię. Wstrzymałam oddech. Jak dotąd widziałam to w jego wykonaniu tylko dwukrotnie. A przynajmniej tyle razy pamiętałam. Stworzenie jedynie łagodnie mrugało, gdy dłoń ojca zanurzyła się w nim po nadgarstek. Następnie cofnęła ją, a konstrukt zamarł, stał się nieruchomy niczym rzeźba. Na dłoni cesarza leżały dwa małe odłamki kości.

Nie miał zakrwawionych palców. Zrzucił odłamki na nadstawioną dłoń Bayana.

– A teraz już idźcie. Oboje.

Znalazłam się przy drzwiach szybciej niż Bayan, który, jak podejrzewałam, liczył na coś więcej niż tylko surowe słowa. Ja jednak przywykłam do tego, a miałam co robić. Wymknęłam się za drzwi i przytrzymałam je Bayanowi, by nie musiał zostawić na nich krwawych śladów. Ojciec cenił czystość.

Przechodząc obok, Bayan zmierzył mnie wzrokiem. Powietrze po jego przejściu pachniało miedzią i kadzidłem. Był zaledwie synem gubernatora małej wyspy, mającym na tyle szczęścia, że przyciągnął uwagę ojca i został przez niego przygarnięty. Przyniósł ze sobą chorobę, jakąś egzotyczną dolegliwość, jakiej wyspa Cesarska dotąd nie знаła. Powiedziano mi, że zachorowałam wkrótce po jego przybyciu i doszłam do siebie niedługo po Bayanie. On jednak nie stracił pamięci w takim stopniu jak ja, do tego część później odzyskał.

Gdy tylko zniknął za rogiem, obróciłam się na pięcie i pobiegłam na koniec korytarza. Kiedy odryglowywałam okiennice, wiatr chciał wyrwać mi je z rąk. Dachówki wyglądały jak zbocze górskie. Wyszłam na zewnątrz i zamknęłam okno.

Przedemną rozpościerał się świat. Z dachu widziałam miasto i przystań. Na oceanie dostrzegałam nawet łodzie, które wybrały się na połów kalmarów i teraz ich lampy błyszczały w ciemności niczym gwiazdy, które spadły na ziemię. Wiatr szarpał moją tuniką, wdzierał się pod tkaninę, szczypał skórę.

Musiałam się pospieszyć. Do tej pory konstrukt służebny usunął już ciało jelenia. Na wpół zbiegłam, na wpół zjechałam po pochyłości dachu w kierunku tej części pałacu, gdzie znajdowała się sypialnia ojca. Nigdy nie zabierał swojego łańcuszka z kluczami do sali przesłuchań. Nie brał też ze sobą

swoich konstruktów strażniczych. Odczytałam drobne znaki z jego twarzy. Może i na mnie warczał i karcił mnie, ale gdy byliśmy sam na sam, czuł przede mną obawę.

Dachówki stukały pod stopami. Na szańcach pod pałacowymi murami czaiły się cienie – kolejne konstrukty. Ich instrukcje były proste. Wypatrywać intruzów. Ogłosić alarm. Żaden z nich nie zwracał na mnie uwagi, nawet jeśli nie znajdowałam się tam, gdzie powinnam. Nie byłam intruzką.

Konstrukt Biurokracji zapewne przekazywał właśnie raporty. Nieco wcześniej widziałam, jak je sortował, jak włochate wargi poruszały mu się, gdy czytał je w milczeniu. Było ich sporo. Dostawy opóźnione z powodu potyczek, Ioph Carn kradnący i szmuglujący bystrokamiem, obywatele wymigujący się od obowiązków względem cesarstwa.

Zwiesiłam się z dachu i zeskoczyłam na balkon przy pokoju ojca, zwykle pustym o tej porze. Dobiegał stamtąd warkot. Zamarłam w bezruchu. Czarny nos wcisnął się w szczelinę pomiędzy uchylonymi drzwiami a framugą, poszerzając odstęp. Żółte oczy wpatrzyły się we mnie, a zakończone chwościkami uszy położyły się płasko. Pazury drapnęły posadzkę, gdy stworzenie podchodziło do mnie. Bing Tai, jeden z najstarszych konstruktów ojca. Posiwały mu policzki, ale wciąż miał wszystkie zęby. Każdy kiel długością dorównywał mojemu kciukowi.

Obnażył zęby, a sierść na grzbiecie stanęła mu dęba. Był istotą rodem z koszmarów, zlepkiem dużych drapieźników o czarnym, potarganym włosiu zlewającym się z ciemnością. Zbliżył się jeszcze o krok.

Może to nie Bayan był głupi, tylko ja. Może właśnie taką odnajdzie mnie ojciec, gdy już skończy herbatę: rozdartą na krwawe strzępy na jego balkonie. Miałam zbyt daleko do ziemi i byłam za niska, żeby dosięgnąć rynien dachowych. Jedyna droga wyjścia prowadziła przez korytarz.

– Bing Taiu – odezwałam się tonem spokojniejszym niż mój nastrój. – To ja, Lin.

Niemal czułam, jak dwa rozkazy ojca zmagają się w głowie konstruktu. Pierwszy: chroń moje pokoje. Drugi: chroń moją rodzinę. Które polecenie było silniejsze? Wcześniej stawałabym na drugie, ale teraz nie byłam już taka pewna.

Stałam w miejscu i starałam się nie okazywać strachu. Wyciągnęłam dłoń w stronę nosa Bing Taia. Widział mnie, słyszał mnie, być może musiał mnie również poczuć.

Mógł też postanowić, że mnie posmakuje, choć próbowałam o tym nie myśleć.

Jego wilgotny, zimny nos dotknął moich palców, a z głębi gardła wciąż dobiegał warkot. Nie byłam Bayanem, który postępował z konstruktami tak, jakby były jego braćmi. Nie potrafiłam zapomnieć, czym są. Gardło ścisnęło mi się tak, że ledwo mogłam oddychać, w piersi czułam ucisk i ból.

Wtedy Bing Tai usiadł na tylnych łapach, postawił uszy i zasłonił zęby.

– Dobry Bing Tai – powiedziałaam drżącym głosem. Musiałam się pospieszyć.

W pomieszczeniu zalegał smutek, niczym kurz obsypywał grubą warstwą to, co kiedyś było szafą mojej matki. Jej biżuteria leżała nietknięta na komodzie, pantofle wciąż czekały na nią przy łóżku. Bardziej niż pytania zadawane mi przez ojca, bardziej niż niewiedza, czy kochał mnie i troszczył się o mnie jako dziecko, dokuczało mi to, że nie pamiętałam matki.

Słyszałam szepty ocalałych sług. W dniu, w którym zmarła, spalił wszystkie jej portrety. Zabronił wspominać jej imię. Wszystkie jej przyboczne posłał pod miecz. Zazdrośnie strzegł wspomnień o niej, jakby tylko on miał do nich prawo.

Skup się.

Nie wiedziałam, gdzie trzymał egzemplarze, które przekazywał Bayanowi i mnie. Zawsze wyciągał je z kieszeni

w szarfię, a nie ośmieliłabym się podwędzić ich stamtąd. Autentyczny łańcuszek z kluczami leżał jednak na łóżku. Tak wiele drzwi... Tak wiele kluczy... Nie miałam pojęcia, który jest od czego, zatem wybrałam jeden na chybił trafił – złoty z kawałkiem nefrytu na główce – i wsunęłam go do kieszeni.

Uciekłam do korytarza i wcisnęłam mały kawałek drewna pomiędzy drzwi a framugę, żeby się nie zatrzęsnęły. Teraz parzyła się herbata. Ojciec przeglądał raporty i zadawał pytania. Miałam nadzieję, że zajmą go na dłużej.

Biegłam, szurając stopami po parkiecie. W przestronnych korytarzach pałacu panowała pustka, a blask lamp odbijał się od pomalowanych na czerwono belek stropu. W przedsionku od podłogi do sufitu wznosiły się filary z drewna tekowego, okalające wyblakły fresk na ścianie drugiej kondygnacji. Zeszłam do wrót pałacowych, przeskakując po dwa stopnie naraz. Każdy krok wydawał mi się miniaturową zdradą.

Mogłabym poczekać, powtarzała mi jedna część umysłu. Mogłabym okazać posłuszeństwo. Mogłabym robić, co w mojej mocy, żeby odpowiadać na pytania ojca, leczyc swoje wspomnienia. Inna część była jednak chłodna i ostra. Przedzierała się przez poczucie winy i odnajdywała brutalną prawdę. Nigdy nie zdołam być tym, czego oczekiwał, jeśli sama nie wezmę tego, co chciałam. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, nieważne, jak bym się starała. Nie zostawił mi żadnego innego wyboru, jak tylko pokazać mu w odmienny sposób, że jestem godna.

Przez wrota pałacu wymknęłam się na cichy dziedziniec. Frontowe bramy zostały zamknięte, ale byłam niska i silna, a skoro ojciec nie zamierzał uczyć mnie swojej magii, cóż, sama nauczyłam się pewnych rzeczy w czasie, gdy on siedział zamknięty w tajnej komnacie wraz z Bayanem. Na przykład wspinałki.

Mury były czyste, ale w kiepskim stanie. Miejscami odłupał się tynk, odsłaniając znajdujący się pod spodem kamień. Wejście okazało się proste. Małpokoształny konstrukt na szczycie muru jedynie na mnie zerknął, po czym obrócił przezryste oczy ku miastu. Przebiegł mnie dreszcz podniecenia, gdy wylądowałam po drugiej stronie. Bywałam już wcześniej pieszo w mieście – musiałam być – ale czułam się, jakby to był pierwszy raz. Ulice woniały rybą, rozgrzanym olejem oraz resztkami przygotowywanych i spożywanymi kolacji. Kamienie pod moimi pantoflami były ciemne i śliskie od pomyj. Pobrzękiwały garnki, a wiatr niósł odgłos melodyjnych, ściszonych głosów. Pierwsze dwie witryny, które zobaczyłam, były zamknięte, starannie zasłonięte drewnianymi okiennicami.

Za późno? – pomyślałam. Z murów pałacu dostrzegłam kiedyś warsztat kowala i to właśnie wtedy wpadłam na pomysł. Wstrzymałam oddech i skoczyłam w wąski zaułek.

Był tam. Zamykał właśnie drzwi, a z ramienia zwiślał mu worek.

– Zaczekaj – powiedziałam. – Proszę, tylko jedno zamówienie.

– Już zamknięte – prychnął. – Wróc jutro.

Zdusiłam desperację szarpiącą mi gardło.

– Zapłacę ci podwójną stawkę, jeśli zaczniesz już teraz. Chodzi tylko o dorobienie jednego klucza.

Wtedy na mnie spojrział i przesunął wzrokiem po mojej haftowanej jedwabnej tunice. Zaciśnął usta. Zastanawiał się, czy skłamać, jakie bierze stawki, ale chwilę później tylko westchnął.

– Dwa srebrniki. Moja zwyczajowa cena to jeden. – Był dobrym, uczciwym człowiekiem.

Czując, jak ogarnia mnie ulga, wysupłałam monety z kieszeni w szarfie i wcisnęłam je w dłoń pokrytą odciskami.

– Proszę. I będę potrzebowała klucza szybko.

Błąd. Przez jego twarz przemknął wyraz zirytowania. Mimo to otworzył drzwi i wpuścił mnie do warsztatu. Mężczyzna był zbudowany jak żelazne kowadło – szeroki i przysadzisty. Jego barki wydawały się zajmować połowę wnętrza. Ze ścian i sufitu zwisały metalowe narzędzia. Wziął pudełko z hubką i krzesiwem, po czym zapalił lampy. Obrócił się do mnie.

– Będzie gotowy najwcześniej jutro rano.

– Ale musisz zatrzymać oryginalny klucz?

Pokręcił głową.

– Już teraz mogę zrobić jego odcisk. Nowy będzie gotowy jutro.

Żałowałam, że mam tak wiele okazji, by zrezygnować, wciąż mogła mnie zawieść odwaga. Zmusiłam się do tego, by upuścić klucz ojca na dłoń kowala. Mężczyzna wziął go i obrócił, po czym z kamiennego koryta wyciągnął bloczek gliny. Wcisnął w niego klucz. A później zamarł. Oddech uwiązał mu w gardle.

Wyciągnęłam rękę po klucz, zanim zdążyłam pomyśleć. Gdy zbliżyłam się o krok, dostrzegłam to, co on – u podstawy główki, tuż nad piórem, w metalu wygrawerowano małą sylwetkę feniksa.

Kiedy kowal na mnie spojrział, jego twarz była okrągła i blada niczym księżyc.

– Kim jesteś? Skąd masz klucz należący do cesarza?

Powinłam była chwycić przedmiot i uciec. Byłam szybsza niż on. Zdołałabym wyrwać mu klucz i zniknąć, zanim zaczerpnąłby kolejnego tchu. Zostałoby mu tylko wspomnienie, w które nikt by nie uwierzył.

Ale gdybym tak zrobiła, nie zdobyłabym kopii. Nie uzyskałabym dalszych odpowiedzi. Tkwiłabym wciąż tam, gdzie na początku, z pamięcią zasnutą mgłą, zmuszona dawać ojcu

niezadowolające odpowiedzi. Już nigdy nie mogłabym sięgnąć po to, czego potrzebowałam. Już zawsze byłabym wybrakowana. A ten kowal... był dobrym człowiekiem. Ojciec nauczył mnie, co powinno się mówić dobrym ludziom.

– Czy masz dzieci? – zapytałam, starannie dobierając słowa.

Na jego twarz wróciła odrobina koloru.

– Dwoje – odrzekł. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, odpowiadając.

– Mam na imię Lin – oznajmiłam, odsłaniając się przed nim. – Jestem dziedziczką cesarza. Zmienił się od śmierci mojej matki. Izoluje się, zostawił sobie tylko niewielką służbę, nie spotyka się z gubernatorami wysp. Znosi się na bunt. Garstka Bezkostnych zajęła już Khalute i pragną sięgnąć po kolejne wyspy. Są też Alanga. Niektórzy mogą nie wierzyć w ich powrót, ale to moja rodzina dotąd do niego nie dopuszczała. Czy chcesz żołnierzy maszerujących ulicami? Czy chcesz wojny na swoim progu? – Dotknęłam lekko jego ramienia, a on się nie wzdrygnął. – Na progu twoich dzieci?

Odruchowo sięgnął za prawe ucho do blizny, jaką miał każdy obywatel. Do miejsca, z którego usunięto odłamek kości i zabrano go do cesarskiego skarbcza.

– Czy mój odłamek napędza konstrukt? – spytał.

– Nie wiem – odparłam. I rzeczywiście nie wiedziałam. Tak mało wiedziałam. – Gdybym jednak zdołała dostać się do ojcowskiego składu, mogłabym poszukać twojego odłamka i przynieść ci go. Nie mogę niczego obiecać. Chciałabym móc. Spróbuję.

Oblizwał wargi.

– Moje dzieci?

– Sprawdzę, co zdołam zrobić. – Nic więcej nie mogłam powiedzieć. Nikt nie był zwolniony od uczestnictwa w Festiwalach Trybutu.

Na jego czole zalśnił pot.

– Zrobię to – oznajmił.

Zapewne teraz ojciec odkłada już raporty na bok. Bierze filiżankę herbaty i upija łyk, spoglądając przez okno na światła miasta w dole. Pot zbierał mi się pomiędzy łopatkami. Musiałam odłożyć klucz na miejsce, zanim odkryje jego brak.

Obserwowałam jak przez mgłę kowala kończącego odcisk. Gdy oddał mi klucz, odwróciłam się, żeby uciec.

– Lin – odezwał się.

Zatrzymałam się.

– Mam na imię Numeen. Rok mojego rytuału to tysiąc pięćset ósmy. Potrzebujemy cesarza, który się o nas zatroszczy.

Czy mogłam coś na to odrzec? Zatem po prostu pobiegłam. Przez drzwi, później zaułkiem, z powrotem wspinaczka po murze. Teraz ojciec kończył już herbatę, otulając palcami wciąż ciepłą filiżankę. Pod dłonią obluzował mi się kamyk. Pozwoliłam, by spadł na ziemię. Stukot sprawił, że się wzdrygnęłam.

Odstawił filiżankę, wyglądał na miasto. Ile mu to zajmowało? Zejście z muru trwało krócej niż wejście. Nie czułam już zapachów ulic, a jedynie własny oddech. Ściany zewnętrznych budynków zamazywały mi się przed oczyma, gdy biegłam do pałacu – kwatery dla służby, Hala Wiekuistego Pokoju, Sala Ziemskiej Mądrości, mur otaczający ogród. Wszystko było zimne, ciemne, puste.

Zdecydowałam się na wejście dla służby i pokonywałam po dwa stopnie naraz. Wąskie przejście otwierało się na szeroki korytarz, który biegł wokół całego pierwszego piętra pałacu, a sypialnia ojca leżała niemal po przeciwległej stronie wejścia dla służby. Żałowałam, że nie mam dłuższych nóg. Żałowałam, że nie mam silniejszego umysłu.

Deski parkietu skrzypiały mi pod nogami, gdy biegłam, i aż krzywiłam się na ten hałas. Wreszcie dotarłam na miejsce

i wślizgnęłam się do pokoju ojca. Bing Tai leżał na dywaniku u stóp łóżka, rozciągnięty niczym stary kot. Musiałam wyciągnąć nad nim rękę, żeby dostać się do łańcuszka z kluczami. Stworzenie pachniało piżmem jak połączenie niedźwiedziego konstruktów z szafą pełną ubrań zaatakowanych przez mole.

Dopiero za trzecim razem zdołałam zawiesić klucz na łańcuszku. Miałam wrażenie, że moje palce są jak zdechłe węgorze – zwiotczałe i śliskie.

Wychodząc, przyklękłam, żeby wyciągnąć klin z drzwi. Słyszałam swój chrapliwy oddech. Jasność światła w korytarzu sprawiła, że zamrugalam. Nazajutrz będę musiała znaleźć sposób, żeby dostać się do miasta i móc odebrać nowy klucz. Na razie miałam już jednak wszystko za sobą, a klin spoczywał bezpiecznie w kieszeni szarfy. Wypuściłam oddech, choć nie zdawałam sobie sprawy, że go wstrzymuję.

– Lin.

Bayan. Poczułam, jak moje kończyny nabierają ciężaru kamienia. Co widział? Obróciłam się w jego stronę. Miał zmarszczone brwi i trzymał ręce założone za plecami. Zmusiłam serce, żeby się uspokoiło, a twarz, by zachowała obojętność.

– Co robisz przy komnatach cesarza?



2

JOVIS

WYSPA JELENIA GĘŁWA

Miałem nadzieję, że jest to jedna z moich mniejszych pomyłek. Pociągnąłem za rąbek kurtki. Rękawy były za krótkie i odrobinę zbyt obszerne, talia za szeroka. Powąchałem kołnierz. Prosto w nos uderzyła mnie piżmowo-anyżowa woń perfum, aż zakasłałem.

– Jeśli chcesz kogoś tym skusić, lepiej spróbuj używać nieco mniej – rzekłem. Była to dobra rada, ale żołnierz u moich stóp nic nie odpowiedział.

Czy jeśli druga osoba jest nieprzytomna, liczy się to jako gadanie do samego siebie?

Niemniej mundur pasował wystarczająco, a ostatnimi czasy rzadko mogłem liczyć na cokolwiek innego niż

„wystarczająco”. Miałem na łodzi dwie standardowe skrzynki pełne bystrokamienia. Wystarczająco, żebym spłacił długi, wystarczająco, żebym dobrze jadł przez trzy miesiące, wystarczająco, żebym mógł przerzucić łódź z jednego krańca Cesarstwa Feniksa na drugi. Ale „wystarczająco” nie zapewni mi tego, czego naprawdę potrzebowałem. W dokach słyszałem plotkę, szept o zniknięciu podobnym jak w przypadku mojej Emahli, i przeklinałbym się już do końca życia, gdybym nie próbował wysledzić jej źródła.

Wymknąłem się z zaułka, powstrzymując odruch, żeby jeszcze raz obciągnąć rąbek kurtki. Skinąłem głową jakiejś żołnierce, mijając ją na ulicy. Wstrzymałem oddech, gdy odpowiadała skinieniem i się odwracała. Zanim przybiłem, nie sprawdziłem rozkładu corocznego Festiwalu Trybutu. A ponieważ szczęście rzadko działało na moją korzyść, oczywiście właśnie tu trwał.

Na Jeleniej Głowie roiło się od wojsk cesarza. I byłem tu też ja – handlarz bez cesarskiego kontraktu, ale za to z licznymi zatargami z żołnierzami na koncie. Przytrzymując palcami mankiet, przemieszczałem się ulicami. Gdy zdałem egzaminy nawigacyjne, zrobiłem sobie tatuaż z królikiem. Mniej chodziło w tym o dumę, a bardziej o kwestie praktyczne, bo jak inaczej zidentyfikowano by moje napuchnięte zwłoki wyrzucone na brzeg? Teraz jednak, gdy działałem jako przemytnik, tatuaż stanowił kłopot. Zresztą tak samo moja twarz. Na plakatach źle uchwycili linię żuchwy, oczy były zbyt blisko siebie, do tego teraz krócej przycinałem kręcone włosy, niemniej podobizna wydawała się całkiem udana. Płaciłem ulicznikom, by je zrywali, ale pięć dni później widziałem, że jakiś przekłety konstrukt powiesił następne.

Szkoda, że cesarskim mundurom nie towarzyszyły czapki.

Powinienem zabrać bystrokamień i uciec, ale Emahla była w moim sercu struną, za którą los wciąż nie przestawał szarpać.

Stawiałem zatem kolejne kroki, robiąc, co w mojej mocy, by jak najmniej rzucać się w oczy. Mężczyzna z doków mówił, że znikła niedawno, więc trop pozostawał świeży. Nie miałem wiele czasu. Żołnierz nie widział mnie, zanim mu przywaliłem, ale na lewym łokciu naszył sobie łąkę, więc rozpozna swój mundur.

Ulica się zwężała. Blask słońca przelewał się przez szczeliny pomiędzy budynkami i praniem rozwieszonym, by wyschło. Ktoś w jednym z domów zawołał: „Nie każ mi na siebie czekać! Ile zajmuje włożenie pary butów?”. Znajdowałem się niedaleko oceanu, więc powietrze wciąż pachniało jak wodorosty, choć wymieszane ze smażącym się mięsem i gorącym olejem. Ludzie szykowali dzieci na Festiwal i przygotowywali posiłek na ich powrót. Dobrze jedzenie nie mogło uleczyć ran na ciele i duszy, ale było w stanie je złagodzić. Na dzień mojej trepanacji matka też urządziła ucztę: pieczona kaczka z chrupiącą skórką, grillowane warzywa, wonny i mocno przyprawiony ryż, ryba we wciąż bulgoczącym sosie. Musiałem wytrzeć oczy, zanim zabrałem się do jedzenia.

Teraz jednak była to już dla mnie przeszłość, a rana za prawym uchem dawno się zagoiła. Pochyliłem się pod wiszącą zbyt nisko i wciąż mokrą koszulą, po czym znalazłem pijalnię opisaną przez człowieka z doków.

Gdy otwierałem drzwi, zaskrzypiały, sunąc po ścieżce wyrobionej w deskach podłogi. Tak wczesnym rankiem w środku wciąż powinno być pusto, jednak w zakurzonych kątach czaili się cesarscy gwardziści. Ze stropu zwisały suszone ryby. Przeszedłem na tył, przyciskając się barkiem do ściany, ukrywając nadgarstek przy udzie i pochylając głowę. Gdybym umiał lepiej planować, owinąłbym czymś tatuaż. No cóż... Większy problem stanowiła moja twarz, a jej nie mogłem niczym zasłonić.

Za kontuarem, obrócona do mnie szerokimi plecami, stała kobieta o włosach obwiązanych chustką, z której na szyję

wymykało się kilka luźnych kosmyków. Pochylała się nad stołnicą, a jej palce zwinnie robiły falbanki na pierogach.

– Ciotko – odezwałem się do niej z szacunkiem.

Nie obróciła się.

– Nie nazywaj mnie tak – odpowiedziała. – Nie jestem na tyle stara, żeby być ciotką kogokolwiek oprócz dzieci. – Wytarła oprószone mąką dłonie o fartuch i westchnęła. – Co mogę ci podać?

– Chciałem porozmawiać.

Wtedy obróciła się i obrzuciła mój mundur przeciągłym spojrzeniem. Nie przypuszczałem, by chociaż zerknęła na moją twarz.

– Wysłałam już mojego bratanka na plac. Rachmistrzowie pewnie zdążyli go naznaczyć. Czy dlatego tu jesteś?

– Masz na imię Danila, zgadza się? Mam kilka pytań na temat twojej przybranej córki – rzekłem.

Jej twarz się ściągnęła.

– Zznałam już wszystko, co wiedziałam.

Nie wątpilem, z jaką reakcją spotkało się jej zeznanie, ponieważ rodzice Emahli otrzymali taką samą: wzruszenie ramion, zirytowane miny. Młode kobiety czasami uciekały z domów, prawda? A poza tym, co według nich cesarz miał z tym zrobić?

– Zostaw mnie po prostu w spokoju – powiedziała, po czym odwróciła się znów do pierogów.

Żołnierz w zaułku mógł się już budzić z bólem rozrywającym mu głowę i licznymi pytaniami na ustach. Ale Emahla... Jej imię wirowało mi w głowie, popędzając do działania. Przecisnąłem się wokół końca kontuaru i dołączyłem do Danili przy stolnicy.

Nie czekając na jakąkolwiek oznakę zgody, wziąłem powycinane kawałki ciasta i nadzienie, po czym zacząłem sklejać. Po chwili zaskoczenia kobieta wznowiła pracę. Za

naszymi plecami dwóch żołnierzy licytowało się przy grze w karty.

– Dobry jesteś – pochwaliła mnie niechętnie. – Bardzo schludnie, bardzo szybko.

– To dzięki mojej matce. Była... jest kucharką. – Pokręciłem głową ze smutnym uśmiechem. Minęło tak wiele czasu, odkąd byłem w domu. Niemal całe życie. – Robi najlepsze pierogi na wszystkich wyspach. Sporo się wałęsałem, żeglowałem i szykowałem się do egzaminów nawigacyjnych, ale zawsze lubiłem jej pomagać. Nawet gdy już zdałem.

– Skoro zdałeś egzaminy nawigacyjne, to dlaczego jesteś żołnierzem?

Rozważyłem swoje opcje. Byłem dobrym kłamcą, nawet bardzo dobrym. Tylko dzięki temu wciąż nosiłem głowę na ramionach. Ale ta kobieta przypominała mi matkę, opryskliwą, ale dobroduszną, poza tym musiałem odnaleźć zaginioną żonę.

– Nie jestem nim. – Podciągnąłem mankiet na tyle wysoko, by pokazać tatuaż z królikiem.

Danila spojrzała najpierw na niego, a później na moją twarz. Jej oczy zmrużyły się, a później otworzyły szerzej.

– Jovis – wyszeptła. – To ty jesteś tym przemytnikiem.

– Wolałbym „odnoszącym największe sukcesy przemytnikiem w ostatnich stu latach”, ale zadowolę się „tym przemytnikiem”.

Parsknęła.

– To zależy, w jaki sposób definiujesz sukces. Twoja matka by tak pewnie nie uważała.

– Zapewne masz rację – odparłem lekkim tonem. Matkę dotkliwie zabołałoby, gdyby widziała, jak nisko upadłem.

Danila rozluźniła się, swoim ramieniem niemal dotykała teraz mojego, jej twarz złagodniała. Nie zamierzała mnie zdemaskować. Takie coś nie leżało w jej naturze.

– Muszę spytać cię o twoją przybraną córkę – powiedziałem. – O to, jak zniknęła.

– Nie ma wiele do powiedzenia – odrzekła. – Jednego dnia tu była, a następnego już nie. Na jej materacu zostało dziewiętnaście srebrników, zupełnie jakby każdy rok jej życia był wart srebrnego feniksa. Stało się to dwa dni temu. Wciąż mi się wydaje, że zaraz pojawi się w drzwiach.

Nie wejdzie. Wiedziałem to, bo tak samo myślałem przez rok. Wciąż widziałem dziewiętnaście srebrników rozrzuconych na łóżku Emahli. Wciąż czułem, jak dudni mi serce, jak wywraca mi się żołądek pochwycony w tym momencie, w którym jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że zniknęła, i nie potrafiłem w to uwierzyć.

– Soshi była błyskotliwą młodą kobietą – powiedziała Danila z drżeniem w głosie. Szybko otarła łzy z oczu, zanim zdążyły spłynąć na policzki. – Jej matka zginęła podczas wypadku w kopalni, a ojca nie znała. Ja sama nigdy nie wyszłam za mąż, nigdy nie miałam własnych dzieci. Przygarnęłam ją. Potrzebowałam kogoś do pomocy.

– Była...? – To słowo wypadło mi z ust. Nie potrafiłem uformować pytania.

Danila podniosła kolejny wykrojony kawałek ciasta i przyjrzała się mojej twarzy.

– Może nie jestem dość stara, żeby być twoją ciotką, ale dla mnie wciąż jesteś chłopcem. Jeśli cesarstwo miało coś wspólnego z jej zniknięciem, to pewnie już nie żyje.

Nigdy nie byłem zakochany. Nigdy nie spotkaliśmy się jako dzieci, nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy. Nigdy nie zaryzykowałem, nigdy jej nie pocałowałem. Nigdy nie wróciłem z Wyspy Cesarskiej. Powtarzałem sobie to kłamstwo raz za razem. Mimo to mój umysł nakładał na nie jej przekorny uśmiech, pokazywał, jak wywracała oczyma, gdy wymyślałem jakąś wyjątkowo głupią historię, jak opierała mi głó-

wę na ramieniu i wzdychała po długim dniu. Potrzebowałem jednak wiary w to kłamstwo. Bo za każdym razem, gdy pomyślałem, że mam spędzić resztę życia bez niej, panika wzbierała mi w piersi i zaciskała się wokół gardła. Przełknąłem ślinę.

– Szukałaś jej? Znalazłaś jakiś trop?

– Oczywiście, że szukałam. Rozpytywałam. Jeden z rybaków mówił, że widział łódź wypływającą wcześniej tamtego ranka. Nie z doków, tylko z pobliskiej zatoczki. Była mała, ciemna i miała niebieskie żagle. Ruszyła na wschód. Tyle wiem.

Właśnie taką łódź widziałem o poranku, gdy zniknęła Emahla. Okrążała skraj wyspy we mgle tak gęstej, że nie byłem pewien, czy jej sobie nie wyobraziłem. Przez siedem lat był to mój najlepszy trop. Gdybym się pospieszył, zdążyłbym ją dogonić.

Jeden z żołnierzy roześmiał się, drugi stęknął i rzucił karty na stół. Krzesła zazgrzytały na podłodze, gdy wstawali.

– To była dobra gra. – Promień słońca ogrzał mi kark, gdy otwierali drzwi. – Ej, ty tam. Idziesz z nami? Kapitan odgryzie ci głowę, jeśli się spóźnisz.

Nikt nie odpowiedział, a ja w tym momencie przypomniałem sobie, że mam na sobie żołnierską kurtkę. Mówił do mnie.

Danila złapała mnie za nadgarstek. Ten z tatuażem. Zarówno jej chwyt, jak i głos były nieustępliwe niczym korzenie drzew.

– Wyświadczyłam ci przysługę, Jovisie. Teraz potrzebuję przysługi od ciebie.

Oj nie.

– Przysługi? Nie rozmawialiśmy o żadnych przysługach. Mówiła głośniejszym głosem niż ja. Usłyszałem kroki zbliżające się od tyłu.

– Mam bratanka. Mieszka na małej wyspie zaledwie kilka walek na wschód stąd. Jeśli się nie mylę, i tak będziesz żeglował tamtędy. Zabierz go przed rytuałem. Zawieź go z powrotem do rodziców. Jest ich jedynym dzieckiem.

– Nie należę do Garstki Bezkostnych. Nie przemycam dzieci – wysyczałem. – To nieetyczne. I niezyskowe. – Spróbowałem jej się wyrwać i zorientowałem się, że jest silniejsza ode mnie.

– Zrób to.

Z odgłosu kroków za mną wywnioskowałem, że jest tam tylko jeden żołnierz. Byłem w stanie sobie z nim poradzić. Zdołałem się z tego wyłgać. Ale nawet po tylu latach wciąż pamiętałem strumyczek krwi spływającej mi z głowy po szyi. Chłodny dotyk dłuta przy skórze. Ranę palącą jak ogień. Cesarz mówił, że Festiwal Trybutu stanowi niewielką cenę w zamian za bezpieczeństwo nas wszystkich. Nie wydawała się jednak taka mała, gdy to twoja głowa się pochylała, a kolana wbijały w ziemię.

Zahartowałem się na cierpienia innych. Kolejne kłamstwo, które sobie powtarzałem, bo nie mogłem ocalić wszystkich. Nie zdołałem ocalić nawet własnego brata. Jeśli zbyt wiele rozmyślałem o całym tym cierpieniu, o wszystkich ludziach, którym nie potrafiłem pomóc, miałem wrażenie, jakbym tonął w Bezkresnym Morzu. Nie potrafiłem znieść tego ciężaru.

Zazwyczaj to działało. Ale nie dziś. Dziś myślałem o mojej matce, o jej dłoniach ujmujących moją twarz. „Ale czym jest prawda, Jovisie?”

Prawdą było to, że ktoś ocalił mnie. Czasami jedna osoba wystarczy.

– Wezmę go – powiedziałem.

Byłem głupcem.

Danila puściła mój nadgarstek.

– Jest mi winien za kubek wina – oznajmiła żołnierzowi. – Zaraz ruszy za wami.

Kroki mężczyzny zaczęły się oddalać.

– Mój bratanek ma na imię Alon – rzekła kobieta. – Jest ubrany w czerwoną koszulę z białymi kwiatami wyhaftowanymi na rąbku. Jego matka jest szewczynią na Phalarze. Jedyną na wyspie.

Strzepnąłem mąkę z dłoni.

– Czerwona koszula. Kwiaty. Szewczynie. Pojąłem.

– Powinieneś się pospieszyć.

Warknąłbym na nią, gdyby jej smutek nie był tak oczywisty. Straciła córkę. Ja straciłem żonę. Mogłem okazać jej uprzejmość.

– Jeśli się dowiem, co stało się twojej przybranej córce, znajdę sposób, żeby cię powiadomić.

Znów otarła oczy, skinęła głową i wróciła do sklejanego pierogów z zaciekłością wojownika na polu bitwy. Wyglądała tak, jakby się okłamywała, że te pierogi są obecnie najważniejszą rzeczą na świecie.

Odwrociłem się do wyjścia i nagle ziemia się poruszyła. Kubki zagrzechotały w kredensach. Wałek Danili sturlał się na podłogę, a suszone ryby zakołysały na sznurkach. Rozłożyłem ręce, nie wiedząc, o co je oprzeć. Wszystko się kołysało. I nagle, równie szybko jak wcześniej się zaczęło, dobiegło końca.

– To tylko trzęsienie ziemi – wyjaśniła Danila, choć już to wiedziałem. Powiedziała to bardziej po to, by uspokoić samą siebie niż mnie. – Niektórzy uważają, że wstrząsy są powodowane przez kopalnię bystrokamienia, która sięga głęboko. Nie ma się czym martwić. Trwają już od kilku miesięcy.

Kłamstwo, które sama sobie opowiada? Owszem, trzęsienia ziemi czasami się zdarzały, ale od dawna żadnego nie poczułem. Wykonałem krok na próbę i stwierdziłem, że grunt jest stabilny.

- Powiniennem iść. Pomyślnych wiatrów.
- I bezchmurnych niebios – odparła.

Wykradnięcie dziecka z Festiwalu Trybutu nie będzie proste. Rachmistrzowie pilnowali, żeby pojawiały się tam wszystkie dzieci, które ukończyły osiem lat, musiałbym więc znaleźć jakiś sposób, żeby wykreślić jego imię z listy. Już wcześniej miałem jednak do czynienia z rachmistrzami, cesarskimi żołnierzami, a nawet z konstruktami cesarza.

Wyglądziłem przód kurtki mundurowej i podszedłem do drzwi. Powiniennem był wcześniej wyrzeć na zewnątrz. Trzęsienie ziemi wytrąciło mnie jednak z równowagi, do tego zbliżyłem się do odnalezienia łodzi, która zabrała Emahlę. Zbliżyłem się do uzyskania odpowiedzi. Zatem wyszedłem po prostu na wąską ulicę rozkojarzony i niepewny niczym nowo narodzone jagnię, ze słońcem padającym mi na twarz.

I znalazłem się w środku falangi cesarskich żołnierzy.



3

JOVIS

WYSPA JELENIA GEOWA

Gdyby tylko na ulicy panował większy ruch albo gwar, ale było cicho i spokojnie. Dziesięcioro umundurowanych mężczyzn i kobiet skierowało na mnie uwagę. Pot sperlił mi się na krzyżu.

– Żołnierzu – odezwała się jedna z nich. Wpięte w jej kołnierz przypinki wskazywały, że jest kapitanką. – Nie jesteś moim człowiekiem. Kto jest twoim dowódcą?

Kłamstwa mogły się udać, gdy dało się je podeprzeć czymś konkretnym.

– Pani kapitan, byłem w pierwszej kompanii, która zeszła na ląd.

Marszcząc brwi, wpatrzyła się w moją twarz. Nic nie mówiła.

– U Lindary? – dopytał inny z żołnierzy.

– Tak – odparłem tonem wskazującym, że to oczywiste i że żołnierz zachował się głupio, potwierdzając.

Kapitanka wciąż jednak wpatrywała się we mnie tak, że miałem ochotę schować podbródek pod kołnierzem kurtki.

– Powinieneś być ze swoją dowódczynią – oznajmiła. – To nie jest wycieczka dla rozrywki.

– Rozumiem. To się nie powtórzy.

– Nie widziałeś tu może w okolicy innego żołnierza? Ni-ski, przysadzisty, ma duży nos i śmierdzi anyżem?

Owszem, widziałem go, choć nie zaznajomiliśmy się ze sobą. Niemniej w dość intymny sposób zapoznałem się z jego mundurem. Miałem głęboką nadzieję, że zapach ryb i wodorostów skutecznie tłumi woń perfum wciąż utrzymującą się na kurtce.

– Obawiam się, że nie, przykro mi. I ma pani rację, powinienem być z moją kapitanką. – Obróciłem się, żeby odejść.

Na moim ramieniu wylądowała dłoń.

– Nie pozwolłam ci się oddalić – oznajmiła oficerka.

Och, byłbym okropnym żołnierzem.

– Pani kapitan? – Obróciłem się i spróbowałem okazać na twarzy wyraz jak największego szacunku.

Jej palce zacisnęły się na moim barku. Zmrużyła oczy, wpatrując się we mnie.

– Widziałam cię już wcześniej.

– Zapewne przy kopaniu latryn. Lindara szczególnie za mną nie przepada. – Pozostali żołnierze nie powstrzymali uśmiechów, ale kapitanka pozostawała niewzruszona. Przebiegłem w myślach wszystkie sprawdzone sztuczki. Próba flirtu z nią zapewne skończyłaby się dla mnie utratą głowy.

Pomniejszanie własnej wartości nie zbijało jej z tropu. Może pochlebstwo?

– Nie – rzekła. – Jest coś charakterystycznego w twojej twarzy.

Niech przekłete będzie cesarstwo i jego małostkowe podejście do odrobiny skradzionego bystrokamienia. Niech przekłeta będzie jego władza nad ludźmi i magią. Ale przede wszystkim niech przekłete będą jego głupie plakaty.

– Mojej twarzy? – powtórzyłem, żeby kupić sobie trochę czasu. – Cóż, to...

Ziemia pode mną znów się zatrzęsła, tym razem mocniej. Wszyscy rozglądali się po otaczających nas budynkach i bezskutecznie wyciągali ręce, żeby szykować się do odpychania walących się ścian. Z dachu za moimi plecami spadła dachówka i rozbiła się na bruku przy moich stopach. Drzenie ustąpiło.

– To już kolejny – skomentował jeden z żołnierzy. – Dwa w jeden dzień. – W jego głosie pobrzmiwał lęk. Prawdę mówiąc, ja też nie byłem zachwycony. Czasami zdarzały się niewielkie wstrząsy wtórne, ale ten był silniejszy od poprzedniego.

Kapitanka znów skierowała uwagę na mnie. Zmrużyła oczy.

Odchrząknąłem i wyprostowałem ramiona.

– Czy nie powinniśmy być na placu, pani kapitan? Już niemal pora Festiwalu.

Wreszcie trąciłem odpowiednią strunę – szacunku i dyscypliny. Dłoń oficerki opadła z mojego barku.

– Będziemy musieli później poszukać naszego kompana. Mamy obowiązek do wypełnienia. – Ruszyła uliczką, gestem polecając pozostałym, żeby podążali za nią.

Dostrzegłem, że kilka dłoni odruchowo sięga za prawe uszy, by dotknąć blizn po trepanacji. Zastanawiałem się, czy

pamiętali ten dzień równie wyraźnie jak ja. Zrównałem się z nimi tempem, w końcu też miałem sprawę do załatwienia na Festiwalu Trybutu. Może i byłem kłamcą, ale dotrzymałem słowa. Zawsze. Zatem nie oszczędzałem nóg i wspinałem się wraz z resztą na wzgórze. Kamienie przesuwają mi się pod stopami, gdy na nie następowalem, poluźnione po trzęsieniu ziemi. Na szczycie wzniesienia ulica poszerzała się i łączyła z dwiema innymi.

Człowiek przede mną rozejrzał się dookoła. Poblądł i wybałuszył oczy.

– Pani kapitan!

Obróciłem się. Za nami biegła wąska ulica, ponad którą majaczyły budynki zbiegające się niczym zaciskane zęby. W powietrzu migotał kurz, ale nie to zwróciło uwagę żołnierza. Coś się zmieniło w dole. Linia przystani się poszerzyła. Doki leżały pod dziwnym kątem względem siebie. W pobliżu brzegu z wody wystawały dziwne kształty.

Szczyty krzaków. Przystań została podtopiona.

Kapitanka przyjrzała się temu z ustami zaciśniętymi w wyrazie determinacji.

– Idziemy na plac – oznajmiła. – Poinformujemy dwie pozostałe falangi. Zachować spokój i porządek. Nie wiem, co to oznacza, ale trzymamy się razem.

Żołnierze ustawili się za nią w szyku, co stanowiło świadectwo jej zdolności przywódczych.

Przeglądałem się dokom. Obietnice były przyjemne i dobre, ale obiecywałem też przecież Emahli, że ją znajdę, a nie za bardzo by mi się to udało, gdybym zginął. Pomyślałem o Danili lepiącej pierogi na festiwalową ucztę bratanka. Po mojej trepanacji powściągliwa zwykle matka przycisnęła mnie do siebie i pocałowała w czubek spoconej głowy. „Załuję, że nie mogłam cię ochronić”, powiedziała. Nie wiedziała wtedy, że zostałem oszczędzony. Sam ledwo zdawałem sobie

z tego sprawę. Do placu nie było już daleko, a ja potrafiłem szybko biegać.

Jelenia Głowa nie była największą ze znanych wysp, ale należała do najbogatszych. Słyszałem, jak miejscowi chwalą się swoją pikantną zupą rybną czy rozległymi targowiskami. Jeden twierdził nawet, że Jelenia Głowa utrzymuje się wyżej w wodzie niż inne wyspy. Tutejsza kopalnia bystrokamienia dostarczała sporą część cesarskich zasobów, a plac stanowił kolejne odzwierciedlenie tego dobrobytu. Bruk pod naszymi stopami stał się gładki i ułożony we wzory. Środek przestrzeni zajmowała podniesiona sadzawka z mostkami prowadzącymi do stojącej pośrodku altany. Zdobiące ją płaskorzeźby w formie winorośli wskazywały, że jest to jedna z nielicznych wciąż zachowanych w jednym kawałku budowli z epoki Alanga. Chciałbym móc odwiedzić to miejsce z Emahlą. Zerknęłaby na mnie filuternie, z ukosa. „A więc dlaczego Alanga to zbudowali?”, zapytałaby. Ja rozpocząłbym wtedy opowieść o tym, jak to owa pełna wdzięku budowla była zaledwie jednym z ich wychodków. Roześmiałyby się i dodała własne szczegóły. „No oczywiście. Kto nie marzy o tym, żeby ulżyć sobie w altanie?”.

Ale nie było jej tutaj.

Zatrzymałem się u wylotu uliczki i czekałem, aż idący przede mną żołnierze dotrą na drugi koniec placu. Stały tam dzieciśki dzieci w otoczeniu cesarskich zbrojnych. Jak owce przyprowadzone na rzeź. Niektóre były spokojne, ale większość wyglądała na zdenerwowaną, kilkoro otwarcie płakało. Podano im opium, żeby stały się potulne i by złagodzić ból. Podszedłem bliżej i rozglądałem się po ich szeregach. Czerwona koszula z kwiatami na rąbku. Za dużo dzieci w czerwieni.

To nie ja powinienem to robić, tylko ktoś z Garstki Bezkostnych z ustami pełnymi frazesów o wolności i o cesarstwie rządonym przez ludzi. Nie byłem idealistą. Nie mogłem sobie na to pozwolić.

Ziemia zadrżała. Pył podniósł się z dachówek, a ja starałem się zachować równowagę. Panika rozlała się po opuszki moich palców. Jeden wstrząs wtórny, w porządku. Trzy wstrząsy w ciągu dnia i podtopienie przystani – taka sytuacja odbiegała już od normy. Na drugim krańcu placu żołnierze przykucnęli obok swoich podopiecznych i sięgnęli do broni, jakby to mogło w czymś pomóc. Rachmistrz kierujący Festiwalem zgarbił się nad swoją księgą. Dzieci z wybałuszonymi oczami wpatrywały się w drżące budynki.

Przytrzymałem się skraju fontanny i zacząłem liczyć. Jeden, dwa, trzy, cztery...

Przy pięciu zacisnęło mi się gardło. Przy dziesięciu zorientowałem się, że to trzęsienie może się nie skończyć. Działo się coś strasznego. Czułem to w szpiku kości. Gdy tylko to sobie uświadomiłem, na powrót byłem w stanie chodzić. Jeśli świat miał się skończyć, to bezczynne czekanie na finał nikomu nie pomoże, a już na pewno nie mnie.

Jakiś chłopiec z grupy dzieci chyba wyczuwał to samo. Podniósł się z pozycji klęczącej i zaczął biec. Jeden z cesarskich żołnierzy złapał go za koszulę.

Czerwoną koszulę z kwiatami na rąbku. Alon, bratanek Danili. Niski jak na ośmiolatka, z grzywą czarnych włosów, które niemal całkowicie zasłaniały mu twarz.

Obowiązek trzymał żołnierzy razem, jakby byli związani kawałkiem żyłki rybackiej. Wystarczy ich mocniej popchnąć i pękną. Pobiegłem ku nim, potykając się, gdy ziemia znów się przesunęła.

– Wyspa tonie! Widziałem to już wcześniej! – skłamałem. Nawet nie musiałem się starać, żeby wyglądać na spanikowanego. – Uciekajcie na okręty, zabierajcie się stąd, zanim woda zabierze nas ze sobą! – Nie miałem pewności, czy przesadzam, czy też nie, ale nie zamierzałem zostawać tu na tyle długo, żeby się dowiedzieć.

Zbrojni wpatrywali się we mnie przez chwilę w osłupieniu. Przez budynki za ich plecami przechodziło dudnienie.

– Ty! – zawołała do mnie kapitanka. – Wracaj do szeregu!

Budynek po przeciwnej stronie placu zawałił się z odgłosem przypominającym uderzenie pioruna. Właśnie wtedy żyłka trzymająca żołnierzy razem pękła. Rozbiegli się. Dzieci i wojskowi przemykali obok mnie, grożąc, że mnie przewrócą. Sięgnąłem w tłum i złapałem Alona za rękę. Był tak mały, że zdołałem całkowicie objąć jego nadgarstek dłonią.

– Przysłała mnie twoja ciotka Danila! – poinformowałem go, krzycząc, żeby usłyszał mnie przez dźwięk przesuwającej się ziemi. Nie byłem pewien, czy moje słowa dotarły do niego, ale nie próbował mi się wyrwać. To już coś. – Musimy uciekać. Uda ci się?

Tym razem skinął głową.

Dostrzegąłem przebłyśki twarzy innych dzieci – spanikowanych, lecz wciąż potulnych, kroczących niepewnie. Ich rodzice, ciotki i wujowie przyjdą tu. „Kłamstwo, kłamstwo” – głos mojej matki. Odepchnąłem go. Nie byłem w stanie pomóc im wszystkim.

– Oddychaj głęboko – rzekłem, a później pobiegłem, wciąż trzymając Alona za rękę. Może i chłopiec był niski, ale potrafił trzymać niezłe tempo. Ominęliśmy sadzawkę i skierowaliśmy się z powrotem do doków.

W uszach słyszałem dudnienie własnego serca. Wąska uliczka wydawała mi się teraz wąwozem, do którego wpadliśmy bez nadziei, że zdołamy się z niego wydostać. Kolejny budynek na lewo od nas zakołysał się z trzaskiem pękających belek. Żołnierze za nami krzyczeli, gdy pociągnąłem Alona naprzód, w samą porę umykając przed walącą się fasadą. Pył wdarł mi się do nosa. Starałem się nie myśleć o żołnierzach zagrzebanych teraz pod gruzami, o ludziach, którzy mogli znajdować się w środku. Musiałem skupić się na tym,

by utrzymać nas przy życiu. Alon zaczął płakać wysokim, przenikliwym głosem.

– Chcę do mamy! – łkał, szarpiąc się w moim uścisku.

Och, dziecko, ja również. Podczas huraganów moja matka siedziała, ignorując grzechoczące okiennice i wyjący wichry, jakby były jedynie zdenerwowanymi dziećmi. Obiecałem sobie, że jeśli wyjdę z tego z życiem, to znajdę sposób, żeby znowu odwiedzić dom.

– Posłuchaj! – zawołałem. – Musisz biec! Jeśli nie będziesz biegł, już nigdy jej nie zobaczysz!

Te słowa uciszyły go skuteczniej niż wymierzony policzek. Nie było czasu, żeby ich żałować. Nie byłem na tyle rośli czy silny, by go nieść.

Wydawało mi się, że rozpoznaję drzwi do pijalni, ale Daniela będzie musiała wydostać się samodzielnie. Ziemia zatrzęsa się, rzucając mną na ścianę budynku tak, że grzmotnąłem w nią boleśnie barkiem. Szarpnąłem Alona za rękę, żeby utrzymać go w pionie. W powietrzu krążył pył; łzawiły mi od niego oczy. W lukach pomiędzy domami dostrzegałem jednak granatowy ocean i błękitne niebo. Pomknęliśmy w dół po nierównym bruku. Spadająca dachówka uderzyła Alona w ramię i chłopiec sięgnął do rany. Pociągnąłem go bezlitośnie dalek, zanim zdążył jej dotknąć.

Następnie znaleźliśmy się w dokach. Opar kurzu wznosił się za nami, jakbyśmy to my przynieśli ze sobą całe zniszczenie. Pomimo wstrząsów i walących się budynków ludzie nie wypełnili jeszcze przystani. Wahali się, stojąc przed koniecznością podjęcia decyzji: czy już jest na tyle źle? Czy będziemy czuć się głupio, gdy to wszystko się skończy? A co z dobytkiem, który zostawimy?

Strach kąsał mi pięty, a zdążyłem już się nauczyć, by ufać swoim obawom. Myśl o pozostaniu na tej wyspie napełniała mnie grozą, której nie umiałem zidentyfikować. Być może

to wszystko się skończy, może wyspa zanurzy się tylko na kilka miar. Ale może nie i właśnie to drugie „może” rzycało mi w głowie.

Parę osób starało się dostać do cesarskich łodzi, szukając ochrony, ale zostali odegnani przez żołnierzy. Inni skierowali się do swoich łodzi rybackich. Ociężały konstruktor o obliczu ptaka z długim dziobem robił, co w jego mocy, żeby zatrzymać każdego z nich.

– Proszę zgłosić swoje towary przed wypłynięciem – skrzeczał. – Przewóz i sprzedaż niezgłoszonych towarów może zakończyć się grzywną i uwięzieniem. Proszę pana, muszę przeprowadzić wyrywkową kontrolę pańskiej ładowni.

Konstrukty urzędnicze należały do kategorii, której najbardziej nie lubiłem. Zaczekałem, aż zajmie się kimś innym.

– Alonie – powiedziałem do chłopca. – Tam na końcu doku stoi moja łódź. – Za nami drewno skrzypiało i zgrzytało, kamienie ocierały się o siebie. – Pomost nie jest zamocowany w dnie. Musimy płynąć. Puszczę cię teraz, ale musisz podążać za mną. Zrzucić buty, jeśli będą cię obciążać.

Nie czekałem, by przekonać się, czy skinie głową. Pobiegłem do wody, gdy konstruktor był obrócony plecami. Nie mogłem wiele zdziałać bez wsparcia żołnierzy cesarskich, ale w tym momencie nie miałem ochoty ściągać na siebie żadnej niepożądaney uwagi. Powierzchnia oceanu falowała od dygoczącej ziemi, zasłaniając mi widok. Zorientowałem się w szoku, że grzbiety moich dłoni są szare od pyłu i spryskane krwią. Nie było czasu, żebym sprawdzał, czy jestem ranny. Wszedłem do wody. Tu, w przystani, pod koniec pory suchej, była równie ciepła jak powietrze. Postąpiłem zgodnie z własną radą i zrzuciłem buty, gdy tylko sięgnęła mi do piersi.

Dzięki kotwicom pomosty jedynie się przesuwały, zamiast odpłynąć. Każdy zamach rąk wydawał mi się nierealny, cofał mnie do czasów, gdy pływałem jako dziecko, nieważne, że za

moimi plecami wyspa rozpadała się na kawałki. Chwyciłem się krawędzi mola i podciągnąłem się, czując, jak drzazgi wbijają mi się pod paznokcie.

Alon znajdował się tylko niewielki kawałek za mną. Grzeczny chłopiec – zrzucił buty. Pochyliłem się, by pomóc mu wspiąć się na pomost. Moja łódź została przycumowana na drugim końcu i kołysała się łagodnie na wodzie. Była niewielka – wystarczająco duża, żeby pozwolić przewieźć znośną ilość towaru i spędzić kilka tygodni na morzu, ale im mniejsza, tym szybsza. Im mniejsza, tym mniej bystrokamienia musiałem zużywać, jeśli było to w ogóle konieczne. Tak daleko od pyłu i walących się budynków wreszcie oczyściły mi się myśli.

– To moja – rzekłem do chłopca i tym razem nie musiałem krzyczeć. – Płyniemy do twoich rodziców.

Poszedł za mną jak zagubione jagniątko.

Gdy tylko wszedłem na pokład, górę wzięły lata treningu. Sprawdziłem olinowanie, zwinąłem cumę, podniosłem żagiel. Kakofonia dobiegająca z wyspy ucichła do stłumionego szumu w zakątku mojego umysłu. Ojciec uczył mnie żeglowania, odkąd tylko zacząłem chodzić. Tu, na łodzi, stałem stabilniej niż na trzęsącym się lądzie.

Alon znalazł sobie miejsce na dziobie i usiadł tam, milczący i drżący.

Powietrze przeszył trzask głośny niczym piorun. Zerknąłem za siebie i przełknąłem z trudem ślinę. Wyspa naprawdę tonęła. Przystań zanurzyła się już niemal całkowicie, woda podpełzła do budynków na jej obrzeżu. To, co robiłem, nie wystarczy. Musiałem wydostać się stąd szybciej.

Bystrokamień. Rzuciłem się do klapy ładowni, a później złapałem leżące pod spodem luźne deski. Niżej znajdowały się skrzynki z bystrokamieniem. Każdy, kto znał moją łódź, dostrzegłby, że zanurza się głębiej niż zwykle, ale niewielu

znało ją tak dobrze jak ja. Chwyciłem garść białej, kredowej substancji, podparłem się drugą ręką, żeby się podnieść, i wrzuciłem zawartość dłoni do koksownika.

Gdybym nie zabrał chłopca, mógłbym już dawno stąd odpłynąć. Gdybym nie zatrzymał się, żeby wypytywać o łódź, która zabrała moją Emahlę. Ale gdybanie nie mogło mnie teraz uratować. Z trudem odnalazłem krzemień, a później uderzyłem nim o ściankę koksownika. Iskry posypały się na bystrokamień, który zapłonął równie łatwo, jak by był plewami.

Biały dym buchnął z koksownika, niosąc ze sobą podmuch wiatru, który wpadł w żagiel i wypełnił go. Moja łódka skoczyła w stronę wylotu przystani – teraz dwukrotnie szerszego niż wtedy, gdy zawijałem do portu. Pot spływał mi strumyczkami po twarzy. Słońce wzniosło się wyżej i jego żar lizał mi kark. Wydawało się niestosowne, że świat miał się skończyć w bezchmurny dzień.

Dmuchałem na płonący bystrokamień i poprawiłem grotżagiel. Nie tylko my umykaliśmy pośpiesznie z przystani, ale byliśmy w czołówce. Gdy znaleźliśmy się na oceanie, moje serce zaczęło bić spokojniej, choć wciąż drżały mi palce. Zerknąłem na Alona, który dygotał skulony na dziobie, otulając się ramionami. Przepłynięty odcinek nie zmył mu całego pyłu z twarzy. Wybałuszonymi oczyma wpatrywał się w wyspę za nami. Zaryzykowałem spojrzenie za siebie.

Skala zniszczeń pozbawiła mnie tchu. Z połowy budynków zostały jedynie gruzy. W powietrzu wznosił się szary pióropusz pyłu i dymu, zasłaniający drzewa. Z ich koron poderwały się stada ptaków wyglądających na tle powstałej chmury jak ciemne kropki.

– Ciocia Danila... – wykrztusił Alon.

Czasami jedna osoba wystarczyła. Jedna musiała wystarczyć. Przełknąłem ślinę.

– Może udało jej się wydostać, chłopcze. Jeszcze nie rozpaczaj. – Wokół nas widziałem w wodzie zwierzęta oddalające się od łądu – kozy, jelenie, koty, psy, nawet króliki i myszy – wszystkie uciekały, wszystkie porzucały wyspę. Głębia poruszyła się, łuski jakiegoś wielkiego stworzenia przebiły na krótką chwilę powierzchnię wody, po czym zanurzyły się z powrotem. Dostrzegłem przebłyśki płetw i jaskrawe luminescencyjne plamy. Nawet bestie żyjące w podbrzuszu dryfującej wyspy się oddalały. Groza wbiła mi się w podstawę karku, szarpała mnie za kręgosłup.

Wyspa zatrzęsała się gwałtowniej i kolejne budynki runęły na ziemię. Całość zaczęła zapadać się szybciej, leniwie, niczym człowiek wchodzący do kąpieli. Mój umysł przeanalizował problem, zanim serce zdążyło w niego uwierzyć. Jeśli wyspa zanurzy się całkowicie, woda pomknie, by wypełnić pozostałą po niej przestrzeń i powstanie wir.

Jeśli nie oddalimy się wystarczająco, zostaniemy wciągnięci.

– Na wszystkich Alanga – mruknąłem. Poruszaliśmy się szybko, ale nie dość szybko. Zaledwie opuściliśmy przystań. Dorzuciłem więcej bystrokamienia do ognia i wytarłem dłoni z białego pyłu o kurtkę. Łódeczka zerwała się na chwilę, ale później znów zwolniła. Widziałem wiry i prądy poruszające innymi łodziami niezależnie od wiatru. Na jednej z nich ktoś krzyknął.

Bystrokamień. Musiałem go wyrzucić. Spowalniał nas.

Choć śmierć spoglądała mi w twarz, umysł desperacko poszukiwał innych opcji. Opanowałem się. Nie. Nie będę taki, jak ci ludzie wciąż tkwiący w dokach, wciąż nietracący nadziei, że trzęsienie ziemi się skończy, że zdołają wrócić do domów. Ciągłe tam byli, jeśli jeszcze nie zatoneśli.

– Alonie, pomóż mi, dobrze?

Chłopiec ocknął się z letargu, gdy wskazałem właz ładowni. W sytuacjach kryzysowych ludzie zawsze reagowali

lepiej, gdy dawało im się jakieś zadanie. Przytrzymał właz, gdy ja sięgałem po skrzynki i wyciągałem je na pokład. Majątek w bystrokamieniu. Owszem, nielegalnie zdobyty, ale moim. Wystarczającym, żebym spłacił dług wobec Ioph Carn.

Zostawiłem garść do koksownika i wyrzuciłem resztę za burtę, jedną skrzynkę po drugiej, zanim zdążyłem zmienić zdanie.

Wystarczająco – teraz już niewystarczająco. Nieważne, czy wyspa tonęła, Ioph Carn znajdą mnie i zażądają zapłaty. Póki co jednak żyłem, moja łódź mknęła po wodzie, a moje serce biło szybko i mocno.

Alon przepelzł z powrotem na dziób niczym ranne zwierzę. Podczas ucieczki ciągnąłem go brutalnie, ale nie chciałem go zostawiać. Skulił się i zaczął łkać. Zapewne opium przestawało na niego działać.

– Twoja ciotka wciąż mogła się wydostać – powiedziałem i od razu zorientowałem się, że to nie pomoże. Miał osiem lat, nie był głupi. Wprawdzie mieszkał na mniejszej wyspie, ale zapewne często odwiedzał ciotkę, znał to miejsce jak drugi dom. Teraz zniknęło, rozpuszczało się w oceanie. A Danila wraz z nim.

Zerknął na mnie spod łokcia z zaczerwienioną twarzą.

– Już ich nie ma – załkał. – Nie ma ludzi, nie ma wyspy, zwierzęta... – Uniósł głowę, by popatrzeć na stworzenia płynące obok nas. – One też umrą.

Wyspa za nami znów się zatrzęsała i ten ostatni rumor zburzył mury, które wzniosłem wokół swojej grozy. Co stanowiło przyczynę tego wszystkiego? W żadnej z dawnych opowieści – nawet tych poświęconych Alanga – nie było wzmianek o tonących wyspach. O trzęsieniach ziemi owszem, ale nie o czymś takim. Nie o tym, że zniszczeniu ulegał cały ład i zabierał wszystko ze sobą. Starałem się uspokoić.

Nie pomoże to ani mnie, ani chłopcu, jeśli się teraz rozsypię, nieważne, jak wielką miałem na to ochotę.

Za burtą dostrzegłem brązowego kociaka szamoczącego się na falach. Nie miał dokąd uciec, a jednak wciąż płynął. Drapnął w bok łodzi, próbując go złapać. Znałem to uczucie. Jego ciemne oczy skrzyżowały się z moim spojrzeniem i poczułem jego desperację.

Kierowany impulsem, podniosłem podbierak, wysunąłem go i wyłowiłem zwierzątko z morza. Nie ruszało się, gdy położyłem je na pokładzie. Skuliło się, przemoczone i dygoczące.

– Spójrz – rzekłem do Alona. – Ten tutaj nie umrze, jeśli się nim zaopiekujesz. Otwórz tamtą ławkę. Po lewej stronie są koce, a pod nimi trochę suszonej ryby. Sprawdź, czy uda ci się wysuszyć i nakarmić tego malca.

Chłopiec wytarł łzy mankietem i przepętlął z dziobu do kotka. Wziął stworzonko w ramiona i choć wciąż pociągał nosem, przestał zawodzić.

Kolejne uratowane życie. Było to żałośnie, niewypowiedziane małe w skali wszystkich straconych żywotów. Ale z pewnością stanowiło różnicę dla tego, który przeżył.



4

LIN

WYSPA CESARSKA

Z zaciśniętym gardłem wpatrywałam się w Bayana, czując, jak wyraz mojej twarzy zmienia się w szok i zaskoczenie. Wyszorował dłonie i zdjął fartuch, pozbywając się wszelkich śladów krwi. Na nowo zapanowałam nad sobą i przybrałam neutralne oblicze, upewniając się, że tylko tyle Bayan zobaczy. Otworzył usta, żeby znów mnie zapytać, co robię przy komnatach ojca. Byłam pierwsza. Mój umysł wyprzedzał usta zaledwie o krok.

– Próbowałam wejść do środka, rzecz jasna – rzekłam lekkim tonem. Wyciągnęłam rękę i poruszyłam klamką.

Bing Tai zawarczał i dźwięk ten poniósł się echem po pustym korytarzu.

Oboje odskoczyliśmy. Napotkałam wzrok Bayana. Przez chwilę tylko spoglądaliśmy na siebie. Jego czarne oczy otworzyły się szeroko, usta rozchyliły, dłonie rozłożyły, by odeprzeć atak. Nie byłam pewna, czy to on roześmiał się pierwszy, czy ja, ale przez krótką chwilę krzyżowaliśmy spojrzenia i oboje się śmialiśmy. Drzwi były zaryglowane, a my bezpieczni. Poczulałam fałę ulgi i dziwnej, zakazanej niefrasobliwości. Nigdy dotąd nie śmiałam się wspólnie z Bayanem. Śmiałam się z niego, a on ze mnie, ale na tym polegała rywalizacja. Miał siedem kluczy, ja zaś sześć, i choć to ja byłam rodzoną dziedziczką, a on kimś z zewnątrz, to liczył na koronę. Nie mogliśmy się przyjaźnić, skoro oboje dążyliśmy do tego samego.

Zupełnie jakby dokładnie w tej chwili sobie o tym przypomniał, jego twarz nagle otrzeźwiała.

– A w zasadzie co ty robisz przy komnatach mojego ojca? – odbiłam pytanie. – Mam więcej powodów, żeby tu być, niż ty.

– Czyżby? – Podniósł dłoń do kluczy wiszących mu na szyi. – Mam dostęp do większej części pałacu niż ty. Szedłem właśnie do biblioteki. Tej tajnej.

– Tajnej biblioteki – powtórzyłam beznamiętnie. – Nie jest taka tajna, skoro mi o niej mówisz.

Przyłożył palec do brody. Musiał wiedzieć, że ten gest jedynie podkreśla jego wyrazistą linię zuchwy.

– Zatem jak powinienem ją nazywać? Biblioteką magii? Biblioteką konstruktów? Biblioteką zabronioną dla Lin, bo ona nie umie sobie przypomnieć?

Wnętrznosci zawrzały mi jak woda w garnku czekającym na przyjęcie porcji krabów. Odetchnęłam, by się uspokoić, i utrzymałam chłodny wyraz twarzy.

– Skoro szukasz jakiegoś opisowego określenia, to może biblioteka wykorzystywana głównie przez nadętego chłopca bez pozycji?

Bayan kłasnął językiem.

– Córka cesarza powinna wykazywać się lepszymi manierami. Jestem jego przybranym synem, a to nie byle co. Chciał, żebym wyszukał odpowiedni rozkaz dla mojego jeleniego konstruktów, a skoro zakończyłem już wieczorną medytację, zamierzam zająć się badaniami.

Powiedział to nonszalancko, co pogłębiło tylko moją zawiść. Czego bym nie oddała, żeby znaleźć się w tej bibliotece, żeby móc sunąć dłońmi po książkach, wachać ich stronice. Nauczyć się z nich wszystkiego, co oferowały. Było to moje dziedzictwo, nie jego.

– Bardzo wysoko się cenisz. Wiedzą mogą dysponować tylko ci, którzy zanurzają się w jej głębię i znają jej kształt. Lektura...

– ...bez prawdziwego zrozumienia oznacza jedynie brodzenie na płyciźnie bez świadomości potworów czających się poniżej – dokończył Bayan. – Znam *Przysłowia Ningsu*.

Nienawidziłam go. Nienawidziłam tego, że nie umiałam sobie przypomnieć. Nienawidziłam zamków i kluczy, których potrzebowałam do ich otwarcia. Co mogłoby być gorsze? Gdyby ojciec mnie wygnał i na moje miejsce wyniósł Bayana, czy też gdyby mianował go dziedzicem i zostawił mnie w pałacu, żebym mu służyła?

Być może Bayan miał znaczne braki w umiejętności czytania z twarzy, jego oblicze jednak złagodniało.

– Spędzasz wiele czasu, skradając się po pałacu i zabawiając się z konstruktami.

– Nie zabawiam się – odparłam, choć nawet sama dla siebie brzmiałam na naburmuszoną. – Badam je.

– Jak sobie chcesz... – Uniósł dłonie w pojednawczym geście. – Widziałem cię przy tym. Cesarz też cię widział. Odzyskałem wiele wspomnień i nie odbyło się to dzięki temu, że mówiłem do konstruktów. Medytowałem i spędzałem

trochę czasu w odosobnieniu. Może gdybyś robiła tak samo, gdybyś poszła na dziedziniec czy nad sadzawkę, lub wręcz usiadła w swoim pokoju i pomedytowała, również odzyskałabyś wspomnienia.

– To takie proste? – Nie potrafiłam zawrzeć w swoich słowach tyle jadu, ile miałam ochotę. Wpatrywałam się w oblicze Bayana – w jego spokojne oczy, w prosząco uniesione gęste czarne brwi, w pełne usta, zamknięte, lecz nie zaciśnięte – i uświadamiałam sobie, że wcale mnie nie nienawidzi. Powinien mnie nienawidzić. Gdy będę już miała w posiadaniu więcej kluczy, gdy wykradnę ich więcej, zorganizuję jakiś prosty sposób, żeby go wrobić, na wypadek gdyby ojciec mnie przyłapał. Nie miałam większego wyboru. Bayan nie byłby dobrym cesarzem. Znadto przypominał mojego ojca, znadto skupiał się na tajemnych miejscach i eksperymentalnej magii.

Konstrukty Biurokracji, Handlu, Wojny i Szpiegów były konstrukcjami wyższego rzędu pomagającymi ojcu w sprawowaniu władzy, ale wyglądało na to, że w coraz większym stopniu ukrywał się za nimi, podczas gdy sam pracował nad sekretnymi projektami.

– Może tego spróbuję – rzekłam, a Bayan uśmiechnął się na te słowa. Zmarszczyłam czoło, czekając na fortel, na obrazę.

– Bayan. Lin. – Ojciec kuśtykał korytarzem w naszą stronę. Zakasłał w rękaw, ale się nie zatrzymał.

Rumieniec rozlał mi się z piersi w górę, sprawiając, że powietrze wokół mojej szyi stało się rozgrzane jak w piecu. Byłam idiotką. Sterczałam tutaj, wymieniając kąśliwe uwagi z Bayanem, podczas gdy ojciec kończył codzienne wieczorne czynności. Powinnam była dawno się stąd zmyć, zamiast pozwolić, by Bayan mnie zatrzymywał. Czy zrobił to celowo?

Ale wyglądał na równie zaskoczonego jak ja.

Laska ojca zakończona głową feniksa stuknęła o podłogę, gdy się zbliżał, lecz jego stopy obute w pantofle przesuwały się bezszelestnie. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień po tym, jak obudziłam się z choroby, był widok stopy ojca, zakrwawionej i zabandażowanej, i to, że pytałam go, co się stało. „Wypadek”, odparł szorstko w sposób wskazujący, że nie życzy sobie żadnych dalszych pytań.

Staął przed nami.

– Co robicie przy moich komnatach?

Kawałek drewna, którym przyblokowałam wcześniej drzwi, żeby się nie zamknęły, ciążył mi teraz w kieszeni. Paliły mnie czubki uszu. Bądźcie jak lód, zmuszałam je siłą woli. Jak lód na szczytach najwyższych gór. Unikałam jego wzroku i czekałam, by Bayan odezwał się pierwszy. Ojciec dostrzegłby prawdę w moich oczach, gdybym na niego spojrzała. Przyjrzałby mi się i w pełni domyślił, co zrobiłam.

Bayan milczał i cisza przeciągała się zbyt długo.

– Bayan mówił, że pokaże mi tajną bibliotekę. – Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Obydwaj jednocześnie zacerpnęli powietrza, obydwaj gotowi do odpowiedzi.

Od strony okna na końcu korytarza dobiegło ciche stukanie i wszyscy popatrzyliśmy w kierunku źródła dźwięku. Na parapecie pojawiła się dłoń, później dwie, wreszcie cztery. Ilith, Konstruktor Szpiegów, przelazła kolejnymi nogami przez okno.

Nie byłam pewna, na której z dryfujących wysp ojciec znalazł wybryk natury, który składał się na większość Konstruktor Szpiegów, ale wiedziałam, że nigdy nie chciałabym odwiedzić tego miejsca. Stwór najbardziej kojarzył się z ogromnym pajakiem, ciemnobrązowym i lśniącym, sięgającym mi aż do piersi, gdy stał na baczność. Na końcu każdej wiotkiej nogi zamocowano ludzką dłoń, a brzuch zdobiła

twarz starej kobiety. Chciałam odwrócić wzrok, ale jak zawsze skończyło się na tym, że z ciarkami na grzbiecie śledziłam każdy ruch tej istoty. W jej groteskowości kryło się dziwaczne piękno.

– Wasza eminencjo – odezwała się Konstruktor Szpiegów niewyraźnym głosem, jakby mówiła przez wiele warstw pajęczyny. W jednej z przednich dłoni trzymała złożoną wiadomość. – Dotarły do mnie wieści z naszych najszybszych cesarskich okrętów. Doszło do tragedii.

Ojciec stracił zainteresowanie mną i Bayanem. Oparł się na lasce i przyjął podawany pergamin.

– Tragedia? Czy Garstka Bezkostnych zaatakowała kolejną wyspę? Doszło do zawalenia kopalni?

– Nie, mój panie – wychrypiała Konstruktor Szpiegów. – Chodzi o wyspę Jelenia Głowa. Zapadła się pod wodę.



S

PHALUE

WYSPA NEPHILANU

Ranami nie tylko wpłynęła na życie Phalue – ona zmieniła je nieodwracalnie, nawet jeśli Phalue czasami nie chciała tego przyznać. Na przykład w chwilach takich jak ta, gdy z jej powodu po prostu nie potrafiła się skoncentrować. Pot przyklejał jej włosy do karku. Miecz w jej dłoni opadł, ale poprawiła chwyt i zacisnęła zęby. Wolałaby rzucić się w Bezkresne Morze niż przegrać starcie z Tythusem. Łączyły ich zbliżony wiek, wzrost i waga, choć to ona powinna wygrać za sprawą umiejętności. Owszem, była rozkojarzona. Zupełnie jakby tego dowodząc, Tythus rzucił się naprzód, niemal zaliczając trafienie w jej naramiennik. Odbiła atak w samą porę.

– Ach, Phalue – powiedział Tythus, uśmiechając się, gdy znalazł się tak blisko wygranej. – Nie jesteś dziś sobą. To z powodu jakiejś kłótni między kochankami?

Phalue się skrzywiła. Od dawna z tego dowcipkowali. Przed kilkoma laty często przychodziła na ich sesje sparin-gowe humorzasta i nieswoja. On zaś delikatnie ganił ją za podrywanie, jak lubił powtarzać, „połowy wyspy”. Musiała szczerze przyznać, że niewiele się mylił. Była niepoprawną flirtiarą, zalecała się zarówno do wysoko, jak i nisko urodzonych kobiet. Później spotkała Ranami i gorąco-lodowata namiętność ochłodziła do stanu nieco wygodniejszego i znósniejszego.

Ostatnio jednak rzeczywiście się kłóciły.

Tythus przebił się przez jej gardę i ugodził ją w nogę. Odskoczyła, ale za późno, i syknęła z bólu. Zostanie jej siniak. Zerwała z głowy hełm i gwałtownie wciągnęła powietrze. Wciąż było wilgotne od deszczu, który padał wczesnym rankiem, przez co Phalue miała wrażenie, że tonie na lądzie. Może jednak nie była jeszcze gotowa, żeby rzucić się w Bez-kresne Morze.

Oblicze Tythusa spoważniało. Mężczyzna opuścił miecz.

– Serio? Coś cię dręczy. Nie mów mi, że zerwałeś z Ranami. Nie spotkało cię w życiu nic lepszego niż ona.

Phalue pokuśtykała po bruku dziedzińca, próbując roz-chodzić ból.

– Nie, ciągle jesteśmy razem. Po prostu... czasami nie ro-zumiem kobiet.

Zapiał ze śmiechu.

– Och, to mocniejsze niż nalewka mojej ciotki.

Popatrzyła na niego ze złością.

– Nie rozumiem innych kobiet. – A może nie rozumiała jedynie Ranami. Kojarzyła się ona Phalue z synogarlicą per-łoszyją – miękka i brązowa, cicha i elegancka, z okrągłymi

czarnymi oczyma skłaniającymi do łagodności. Pod piórami znajdowała się jednak istota pełna ostrych krawędzi i czasa-mi, jeśli Phalue sięgała zbyt głęboko, czuła, że o nie zahacza. Minęła fontannę w rogu pałacowego dziedzińca, zerkając na nią. Była to jedna ze starych pozostałości pałacu, część zbudowana jeszcze przez Alanga. Właśnie tu, na Nephila-nu, zorganizowali ostatnią redutę przeciwko przodkom ce-sarza. Rezydencja jej ojca była jednym z nielicznych budyn-ków, które przetrwały niemal nietknięte.

Skinęła podbródkiem w stronę fontanny.

– Czy znowu otworzyła oczy? – spytała.

Tythus niezręcznie przestąpił z nogi na nogę.

– Nie. Były otwarte przez pięć dni, ale później już nie. Tak szczerze, to mam od tego ciarki.

W fontannie stała postać trzymająca misę, z której spły-wała woda. W pałacu zapanował zgiełk, gdy przed kilkoma miesiącami rzeźba otworzyła niewidome oczy. Ojciec Pha-lue zamierzał właśnie nakazać jej zniszczenie, gdy znów się zamknęły. Nic się nie wydarzyło. Żadnych fanfar, żadnego dudnienia, żadnego nagłego pojawiania się ludzi władają-cych dawną magią. Na ulicach krążyły pogłoski, że ozna-cza to, że Alanga wrócą, przejmą władzę nad wyspami i Ne-philanu będzie pierwsza. Aczkolwiek z każdym kolejnym słonecznym dniem nawet przerażające opowieści traciły impet.

– Gdyby wrócili, najpierw udaliby się na Cesarską – stwierdziła Phalue.

Tythus zmarszczył brwi.

– Mówienie o powrocie Alanga może przynosić pecha.

– Nie mów mi, że jesteś taki przesądny.

Jedynie zacisnął wargi.

Phalue potrząsnęła nogą i westchnęła, jak zawsze kieru-jąc myśli znów ku Ranami.

– Poprosiłam ją, żeby za mnie wyszła. Mówię o Ranami. – Nie była pewna, dlaczego zwierzała się z tego Tythusowi, poza tym, że zawsze słuchał, gdy miała jakiś problem.

Schował miecz do pochwy.

– Wiesz, na pewno nie pomyślałem, że chodziło ci o rzeźbę z fontanny. I co? – Czytał w jej twarzy. – Ach. Nie zgodziła się.

Phalue otarła z czoła pot i kosmyki włosów.

– Już wcześniej ją prosiłam. To nie był pierwszy raz. Ale ona wciąż mi powtarza, że nie chce być żoną gubernatorki. Co mam z tym zrobić? Abdykować? Również nie przepadam za polityką ojca, ale gdyby była moją żoną, a ja odziedziczyłabym stanowisko, mogłaby mi pomóc kształtować tę politykę.

Tythus tylko wzruszył ramionami. Był jednym z pałacowych gwardzistów i nie będzie mówił źle o jej ojcu, nawet jeśli ona mogła to robić swobodnie.

– Nienawidzi tego, że on wysyła wszystkie orzechy caro na Cesarską. Nienawidzi tego, jak traktowani są rolnicy. Uważa, że to niesprawiedliwe. Zatem dlaczego w ogóle jest ze mną? Z córką i dziedziczką gubernatora? Jeśli naprawdę nie jest zainteresowana poprawą swojej pozycji, to czy nie powinna zalecać się do kogoś, kogo pozycja jej nie odpycha? Jestem dla niej pośmiewiskiem? Przelotnym kaprysem? Gdy się poznałyśmy, zabrałam ją do doków i puściłam na wodę pływające lampy, a ona chciała rozmawiać o podatkach nakładanych przez mojego ojca! Powinnam była się domyślić, że odmówi. – Mówiąc to, Phalue krążyła wokół dziedzińca. Teraz zatrzymała się i odetchnęła kilka razy.

– Phalue – rzekł Tythus. – Jestem żonaty już od pięciu lat i mam dwójkę dzieci. Nie jestem dzieckiem gubernatora. Nie jestem gubernatorem. A poza tym, co zresztą najważniejsze, nie jestem Ranami. Zapewne to ją powinnaś spytać.

– Nie wiem, jak z nią rozmawiać – odparła Phalue, nie cierpiąc żalostnej nuty w swoim głosie. Próbowwała wyjaśniać Ranami, że ojciec namawiał ją na ożenek, że gdy zajmie stanowisko gubernatorki, da Ranami wolną rękę we wpływnaniu na politykę, że już wystarczająco długo są razem. Raz nawet wpadła w szał i wyszła, decydując, że od niej odejdzie i znacznie zalecać się do kogoś innego. Nie zdoła jednak zostawić Ranami, podobnie jak świat nie zdołałby zostawić słońca. Wpełzła więc z powrotem na orbitę i błagała o przebaczenie, którego Ranami udzieliła jej wraz z długim uściskiem i pocałunkiem w policzek. Nikt nigdy nie mógłby odmówić jej wspaniałomyślności.

– A może – zaproponował Tythus, przekrzywiwszy głowę i uniósłszy gęste brwi – spróbowałabyś jej posłuchać?

– Myślisz, że jej nie słucham? – odparła beznamiętnie Phalue.

Tythus uniósł dłonie i lekko wzruszył ramionami.

– Słuchanie to sztuka. Czasami chodzi nie tyle o to, by pozwolić drugiej osobie mówić, lecz by zadawać odpowiednie pytania.

– Jakie pytania są odpowiednie?

– Jestem tylko twoim partnerem sparingowym – odpowiedział lekko. – Pamiętasz?

Na balkonie pierwszego piętra otworzyły się na chwilę drzwi i na dziedzińcu wylały się odgłosy muzyki oraz gwar głosów. Phalue zerknęła na pałac z niesmakiem.

– Jeszcze się to ciągnie?

– Twój ojciec lubi urządzone przez siebie przyjęcia. – Znów idealnie neutralny ton. – Może byłby zadowolony, gdybyś tam zajrzała.

Zajrzała? To jakby wrona próbowała przysiąść na grzędzie wśród skowronków. Matka i ojciec Phalue rozwiązali małżeństwo, gdy była jeszcze mała, i choć matka posłała ją

do pałacu, by tam mieszkała, czuła, jakby nie do końca pasowała do tego miejsca. Jej wybryki nie polegały na piciu i tańcach. Pokręciła głową.

– Tythusie, szybciej ty wzięłyś w nich udział niż ja. Wiesz to przecież.

Położył ciężką dłoń na jej barku.

– Porozmawiaj z Ranami, jeśli chcesz poznać jej myśli. Ja nie jestem wieszczem. Dziobiesz w kamień i liczysz na to, że w środku znajdziesz orzech.

Phalue schowała miecz do pochwy, a później na nowo związała włosy.

– Nie rozmawialiśmy od zeszłego wieczoru. Wysłam zła.

– A ona była zła?

Dziewczyna uderzyła dłonią w jeden z filarów z drewna tekowego.

– Nie. Tylko... smutna. A to czasami sprawia, że złość się jeszcze bardziej.

– Cóż, wcześniej czy później będziesz musiała z nią pomówić. Albo po prostu nie rozmawiaj z nią już nigdy.

– Jesteś ode mnie tylko dwa lata starszy – oznajmiła Phalue, wywracając oczyma. – Nie traktuj mnie jak dziecka.

– Zatem idź – odparł Tythus, machając dłonią w rękawicy. – Idź być dorosłą. Idź wypowiadać dorosłe słowa i wyjaśnić dzielące was różnice. Wolałbym skończyć na wysokiej zwycięskiej nucie.

– Nieuczciwie – rzekła, unosząc palec, a później pokręciła głową. – Skończymy jutro rano.

– Niech będzie.

Nie zawracała sobie głowy zdejmowaniem zbroi. Wolała ją niż stroje uliczne lub – niebiosą brońcie – haftowane jedwabne tuniki, do których noszenia wiecznie próbował zmuszać ją ojciec. Poza tym Ranami lubiła ją w zbroi. Przyznała po pewnej parnej nocy, że według niej właśnie w zbroi

Phalue wydaje się czuć najswobodniej. I Phalue bardzo się to spodobało.

Jej serce zgubiło jedno uderzenie na to wspomnienie, a później zamarło, gdy przypomniała sobie ich kłótnię. Pod koniec tych awantur Ranami zawsze mawiała, że Phalue po prostu nie rozumie, a Phalue odpowiadała: „No to pozwól mi zrozumieć!”, a wtedy Ranami patrzyła na nią tak, jakby prosiła psa, żeby zeglował łódką. Zupełnie jakby podczas sprzeczki znajdowały się na dwóch różnych wyspach i żadna z nich nie potrafiła przedostać się do tej drugiej.

Las leżący za murami pałacu był wilgotny i zielony, pora deszczowa dopiero się zaczęła. Gałęzie, które Phalue odsuwała sobie z drogi, były mokre, ścieżka wciąż śliska. Gdzieś w oddali samica ptaka ijop raz za razem śpiewała *ijop-łiii* w ostatniej desperackiej próbie przyciągnięcia samca, zanim ustąpi gorąco pory suchej i wychowanie młodych stanie się trudniejsze.

Pałac stał na szczycie wzgórza, odizolowany od leżącego poniżej miasta. Phalue czuła szarpnięcia w kolanach, gdy szła serpentynami, starając się utrzymać równowagę. Pomimo niepokojów wśród rolników i tego, że jej ojciec nie cieszył się popularnością, mieszkańcy wyspy Nephilanu wydawali się ją lubić. Podobała im się jej dyscyplina, jej nisko urodzona matka, fakt, że często schodziła do miasta. Właśnie te wizyty, odbywane w towarzystwie świty gwardzistów, zainspirowały Phalue do tego, by nauczyć się walczyć. Spierała się z ojcem, że jeśli opanuje tę umiejętność, będzie mogła zaglądać do matki samodzielnie.

Gdy pokonała w potyczce dwóch najlepszych z jego ludzi, ustąpił. Z początku bywała w mieście wyłącznie u matki. Później zaczęła też zachodzić na targowiska. A jeszcze później wpadła w oko przyjezdnej gubernatorce i zakochała się po raz pierwszy. Późno rozwinęła skrzydła, bo dopiero

w wieku dziewiętnastu lat, ale od tamtej chwili zdecydowanie nadrobiła stracony czas.

W połowie drogi musiała zejść w błoto na poboczu, żeby przepuścić wózek. Skrzypiał pod ciężarem, a zaprzężony do niego wół wysiłił się, ciągnąc ładunek. Kolejne zapasy dla pałacu. Czasami zastanawiała się, jak wyglądał, gdy zbudowali go Alanga. Po wszystkich przeróbkach dokonanych przez jej rodzinę zapewne w równym stopniu przypominał oryginał, co piesek kanapowy wilka. Uprawy orzechów caro pozwoliły jej ojcu się wzbogacić, dzięki czemu mógł zlecić wzniesienie nowej sali tuż za murami. Był przekonany, że pewnego dnia sam cesarz zdecyduje się ją odwiedzić.

Phalue rozglądała się po mieście, czekając, aż wózek ją minie. Próbowwała dostrzec dom Ranami pośród pokrytych dachówką pochyłych dachów ściśniętych zbyt blisko siebie. Co mogłaby jej powiedzieć? „Przepraszam” stanowiłoby najoczywistszą kwestię na początek, ale czasami wydawało się nie wystarczać. Zapewne najbardziej Ranami chciałaby usłyszeć „rozumieć”, ale nie byłaby to prawda. „Kocham cię”? To z kolei było prawdą w takim stopniu, że za każdym razem, gdy Ranami na nią spoglądała, Phalue czuła, jakby coś rosnęło jej w piersi.

Z rzadka tęskniła za czasami swoich miłosnych podbojów. Nowa kobieta co kilka tygodni, nowy cel namiętnych schadzek. Ale gdy tylko w dokach poznała Ranami, jakby straciła wiatr w żaglach. Jeśli Phalue porządnie się nad tym zastanowiła, Ranami wcale nie wydawała się wyjątkowa. Klęczała wtedy na skraju pomostu, długie rzęsy ocieniały jej policzki, szczupłe palce wyciągały pułapkę na kraby z głębin. Kto zakochałby się w sposobie, w jaki ktoś wylawia pułapkę na kraby?

Phalue najpierw zauważyła piękno Ranami, później jej wdzięk, a następnie to, jak jej wargi rozchylają się lekko, gdy się skupia, jak wąskie linie jej brwi marszczą się na czole.

Podejście Phalue... pozostawiało sporo do życzenia. Zaproponowała, że kupi kraba, choć wyraźnie nie były one na sprzedaż, a Ranami zrobiła skonsternowaną minę i powiedziała, że połów jest na prywatny użytek. Ranami wiedziała, z kim rozmawia, na co zresztą byłby gubernatorskiej córce byle krab z doków? Później dość szybko odgadła intencje Phalue i odrzuciła jej awanse.

– Nie zamierzam być niczyją zabawką.

– Czy to dlatego, że nie jesteś zainteresowana kobietami?

Ranami popatrzyła na nią przeciągle, jakby nie potrafiła uwierzyć w to, co słyszy.

– Nie chodzi o to, że jesteś kobietą. Chodzi o to, że jesteś sobą. – Nie był to szczególnie pomyślny początek. Phalue zostawiła Ranami w spokoju, tak jak ta poprosiła, ale usłyszane słowa dały jej powód do refleksji. Z poprzednią kochanką zerwała i przeżyła trzy miesiące w celibacie. Czy rzeczywiście tak beztrudno podchodziła do uczuć innych? Później zaś, ku jej zaskoczeniu, Ranami odszukała ją w pałacu. „Może się ośmieszam”, powiedziała pokornie ze spuszczonej oczyma, „ale jeśli wciąż jesteś zainteresowana...”. Po czym podała jej koszyk, w którym znajdował się krab.

Phalue postukała palcami w pochwę miecza, a w jej głowie odbijały się echem słowa Ranami. „Chodzi o to, że jesteś sobą”. Czy tym razem znowu chodziło o coś związanego z nią? Starła się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że owszem. Utrzymało się ono śliską warstwą na jej sercu jak plama oleju na wodzie. Jeśli tak, to skłoni Ranami, by ta wypowiedziała odpowiednie słowa, by sama z nią zerwała, bo Phalue po prostu nie umiała się do tego zmusić.

Przedzierała się wąskimi uliczkami w pobliżu doków. Rynsztoki były czyste dzięki deszczowi, lecz wciąż lekko woniały rybami. Kilkoro uliczników dostrzegło ją i poszło za nią. „Prosimy, Sai. Prosimy”. Sięgnęła do sakiewki i rzuciła

im kilka monet. Co dziesięciodzień ojciec dawał jej pewną kwotę na wydatki, a na co innego mogłaby ją wykorzystać? Gdy zachodziła do miasta, zawsze pamiętała, żeby pomagać sierotom albo ludziom cierpiącym na chorobę odłamkową.

Ranami zajmowała jednopokojowe mieszkanie nad zakładem sprzedającym bułeczki gotowane na parze. Phalue wyczuła woń, zanim jeszcze dostrzegła restaurację: sos rybny, szalotkę i słodki zapach parowanego pieczywa. Kupiec uniósł dłoń, gdy ją dostrzegł, a ona szybko skinęła mu głową i skręciła w zaułek, w którym znajdowały się schody. Czuliła się nieco głupio, uchylając się przed resztkami wody kapiącej z dachów. Gdyby jej ojciec postawił na swoim, zostałaby ubrana w jedwabie i posłana na inne wyspy, żeby tam prowadzić negocjacje. Uczylaby się dyplomacji, a nie walki. Jako jedyne dziecko stanowiła zasób i ojciec często narzekał, że szła na zmarnowanie. Nigdy jednak nie wydawał się zebrać w sobie na tyle, by wystąpić przeciwko niej.

Phalue położyła dłoń na poręczy schodów i zamarła. Coś było nie w porządku. Powinna wyczuć to wcześniej, ale zbyt głęboko tkwiła w snach na jawie. Z mieszkania na górze nie dobiegały żadne odgłosy, zaś drzwi, zawsze zamknięte, były lekko uchylone. Położyła dłoń na mieczu.

– Ranami...? – zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

– Wuju! – odezwała się do sprzedawcy bułeczek. – Czy tego ranka widziałeś Ranami?

– W ogóle jej dziś nie widziałem, Sai! – odkrzyknął.

Do tej pory dziewczyna powinna już wyjść, żeby rozstać się z bułeczkami, a przed wyruszeniem do pracy zawsze lubiła kupić sobie dwie bułeczki. Serce Phalue przyspieszyło, jej wargi odrętwiały. Trzymając dłoń na rękojeści miecza, wbiegła po pozostałych stopniach i wpadła do mieszkania.

Część niej spodziewała się znaleźć tutaj Ranami zaskoczona i zastanawiająca się, co Phalue w ogóle robi. Zastony były zaciągnięte, w pokoju panował mrok. Wysunęła miecz z pochwy, ale gdy wzrok dopasował jej się do warunków, dostrzegła, że nikogo tu nie ma.

Nieskazitelnie czyste mieszkanie zostało wywrócone do góry nogami. Z poduszek zerwano poszewki, z szafek wysypano rzeczy, krzesła przewrócono. Na podłodze leżały rozrzucone książki o filozofii i etyce, o których lekturę Ranami praktycznie ją błagała. Phalue dudniło w głowie. Nie powinna być tak uparta. Powinna była wrócić wcześniej, żeby przeprosić, nigdy nie powinna była opuszczać miejsca u boku Ranami. Kto mógłby splądrować dom? Przecież Ranami zarabiała skromnie jako sprzedawczyni książek. No i gdzie znajdowała się teraz?

Phalue schowała miecz i podniosła sukienkę leżącą na podłodze. Ranami miała ją na sobie w dniu, w którym się poznały – złocisty strój jaskrawy niczym kurkuma, kontrastujący z jej ciemną skórą i jeszcze ciemniejszymi włosami.

– Ranami?! – zawołała znowu i usłyszała w swoim głosie desperację. To nie mogło dziać się naprawdę. Miała wrażenie, jakby wkroczyła do lustrzanego świata i jeśli teraz wystarczająco się postara, zdoła wrócić do własnego. Zaciśnęła mocno powieki i otworzyła je na nowo. Powitał ją widok tego samego ciemnego pokoju. Ale tym razem dostrzegła na stole kawałek papieru.

Podeszła tam po deskach podłogi skrzypiących jej pod nogami i podniosła szybko świstek. Musiała odchylić zasłonę, żeby zyskać dość światła i móc przeczytać treść.

Jeśli chcesz znowu zobaczyć Ranami, przyjdź do ruin Alanga przy drodze wychodzącej z miasta.



6

PIASEK

WYSPA MAILA NA SKRAJU CESARSTWA

Wspinając się, Piasek czuła pod palcami szorstką korę mangowca. Zebrała już niemal pełen worek, ale potrzebowała jeszcze zaledwie dwóch mango, by zabrać je do wioski. Wspinała się zatem. Wyżej i wyżej, oddech chrypiał jej w gardle, ręce i nogi bolały. Nigdy nie wracała bez pełnego worka. Nikt z nich tak nie wracał. Jeśli ktoś nie wracał z pełnym workiem, to nie wracał w ogóle. Widziała już wcześniej jednego z nich – miał na imię Fala – który zanurzał siatkę w wodzie, by łowić ryby, raz za razem, aż wreszcie przyszedł przypływ i Fala spadł ze swojego miejsca do morza. Zniknął. Uderzył o rafy otaczające Mailę. Działo się tak czasami. Pewnego dnia ją też

zapewne to spotka. Myśl ta nie wzbudzała w niej zupełnie żadnych uczuć. Jej serce było równie szare i zimne jak mglisty poranek.

Teraz dostrzegła jednak błysk dwóch mango pośród położonych wyżej gałęzi, wyglądających spomiędzy liści niczym wstydlive kurtyzany. Piasek poszukała podparcia dla stóp i sprawdziła je ostrożnie, upewniając się, że nie spadnie. Gałąź ugięła się lekko pod jej ciężarem, gdy Piasek podciągnęła się nieco wyżej, ale wytrzymała. Pierwsze mango wisiało powyżej i nieco w tył od niej. Musiała obrócić się i sięgnąć po nie węższą dłonią, tą, w której brakowało dwóch palców. Opuszkami musnęła gładką powierzchnię owocu, przesunęła nimi po jego skórce, próbując przyciągnąć go bliżej. Druga ręka napinała się, dłoń spotniała.

Pozostali zapewne wrócili już po wykonaniu codziennych zadań. Znieruchomiała, żeby odetchnąć, i rozejrzała się po reszcie drzewa w poszukiwaniu łatwiejszych celów. Nic. Była Piasek i zawsze wracała z pełnym workiem. Zacieśniła zatem chwyt na gałęzi i znów sięgnęła po mango. Tym razem złapała jego spód i pociągnęła, próbując je zerwać. Owoc wyslizgnął jej się z garści, a ona zapadła się we wspomnienie.

Nie dotykała mango, tylko zasłony z szorstkiego lnu. Odciągnęła ją – a jej dłoń miała wszystkie palce. Klin słonecznego blasku padł na jej twarz, ogrzewając policzek. Gdy wymrugała z oczu złotawy blask wschodzącego słońca, dostrzegła zielone dachówki pałacu osnute mgłą i poszarpane góry otulające budynek od tyłu, zupełnie jakby podawały go komuś niczym cenny klejnot. W piersi wezbrała jej fala podziwu, lęku, konsternacji. Pozwoliła zasłonie opaść, niezdolna pogodzić ze sobą te uczucia, po czym cofnęła się w ciemną, zamkniętą przestrzeń palankinu.

Nie. Była Piasek. Była Piasek zbierającą mango. Miejsce ze wspomnień nie było czymś, co kiedykolwiek widziała. Wciąż

jednak czuła woń drzewa sandałowego i wilgotnej porannej mgły. Bolały ją ręce.

Wtedy dłoń zsunęła jej się z gałęzi.

Świat zwolnił bieg, gdy wymachiwała rękoma. Dłonią uderzyła w pień za sobą, ale nie zdołała znaleźć niczego, czego mogłaby się chwycić, a później jej stopa wypadła z miejsca pomiędzy dwoma konarami. Spadała. Smagały ją gałęzie, obraz rozmył się przed oczyma, gdy głowa szarpnęła się w tył, a później gwałtownie wyprysnęła do przodu. Każde ze zranień rejestrowała jedynie jako coś, co może boleć później, gdy się na siebie ponakładają. Co innego ziemia. Ziemia zaboli.

Ustąpiła pod nią tylko odrobinę. Powietrze wyrwało jej się z płuc i Piasek otworzyła usta, żeby zaczerpnąć go więcej. Wciągane powietrze wzbudzało w niej jednak mdłości. Zakasłała, a później, czując wirowanie w głowie, zwymiotowała na bok. Leżała, próbując odetchnąć.

Krwawiły jej ręce. Otepienie w miejscach, gdzie podrapały ją gałęzie, ustępowało ostremu, piekącemu bólowi. Piasek przetoczyła się na bok, a później podparła powoli, przy każdym ruchu odkrywając kolejne bolesne miejsca. Wciąż żyła, choć ta myśl wcale jej nie pocieszała. Na lewym przedramieniu widniała głęboka szrama. Dotknęła jej delikatnie, a później, sycząc z bólu, przyglądała się rozciętej skórze, tłuszczowi i mięśniom widocznym pod spodem – swoim obnażonym warstwom. Rana będzie wymagała szwów.

Ta myśl... też nie należała do niej.

Świat wciąż kołysał się wokół, przemieszczał się, gdy poruszała oczyma. Nie miała wyjścia. Musiała wstać, wrócić do wioski. Strzecha mógł zszyć jej rękę. Podczas upadku rozdarła tunikę. Dokończyła dzieła zniszczenia, odrywając pasek, by owinąć nim ranę. Gdy wreszcie podniosła się na nogi, ziemia nie wydawała się pewnym oparciem, zupełnie jakby

Piasek znajdowała się na łodzi, takiej jak ta, która ją tu przywiozła. Która przywiozła tutaj ich wszystkich.

Nie. Nie była na żadnej łodzi, prawda? Nie miała pewności, co myślała, kim była.

Obok drzewa leżał worek z mango. Kilka owoców wypadło ze środka, więc zebrała je, narzuciła sobie worek na ramię i skrzywiła się. Czuła się, jakby w jej głowie zamieszkał kowal i wykorzystywał jej czaszkę jako kowadło. Każdemu uderzeniu serca odpowiadało dudnienie w głowie.

Jej worek wciąż nie był pełny.

Piasek przyjrzała się drzewu, a później podeszła do pnia, by znów się wspiąć. Coś powstrzymało ją jednak, gdy sięgała do pierwszej gałęzi.

Dlaczego musiała wrócić z pełną torbą? Co to były za bzdury? Jej zimne, szare serce nabrało koloru. Mogłaby po prostu... wrócić do wioski. Miała dość mango, żeby wystarczyło dla wszystkich, zresztą pozostali też zbierali albo uprawiali żywność.

Coś uległo zmianie pomiędzy wspomnieniem a upadkiem i nie była pewna, co takiego. Zupełnie jakby odsunęła zasłonę i wreszcie dostrzegła pałac. Świat nie ograniczał się tylko do wnętrza palankinu.

W połowie drogi powrotnej do wioski, na zakręcie ścieżki biegnącej nad oceanem, Piasek przystanąła. Pył wodny całował ją w twarz, gdy spoglądała ku horyzontowi. Poszarpane krawędzie raf otaczających Mailę wystawały miejscami z wody niczym kolczaste grzbiety jakichś dziwnych zwierząt. Za rafami czekało Bezkresne Morze. Uderzyła ją myśl, która pozbawiła ją tchu w równym stopniu jak wcześniej upadek.

Dlaczego w ogóle przebywała na Maili? Dlaczego żadne z nich nie odchodziło?



7

JOVIS

GDZIEŚ NA BEZKRESNYM MORZU

To nie był kotek.

Obserwowałem, jak Alon bawi się ze stworzonkiem na dziobie. Skakało ku poruszającym się palcom, chwyciło je delikatnie w pyszczek. Przede wszystkim miało małe uszy. Nie posiadało pazurów na przednich łapach, które przypominały dłonie z błoną rozciągniętą pomiędzy palcami. Brązowa sierść pokrywająca ciało była jaśniejsza na brzuchu i równie gęsta jak u wydry. Powinienem był to zauważyć, gdy wyciągałem malca z wody, ale akurat wtedy na moich oczach zapadała się cała wyspa. Można mi było wybaczyć, że przegapiłem takie szczegóły.

Czułem się, jakby wokół serca zaciskało mi się imadło. Chłopiec był zajęty opieką nad zwierzątkiem, ja jednak obserwowałem horyzont, aż wyspa zniknęła pod nim. Nie traściłem nadziei, że przestanie się zanurzać, ale bijący z niej dym wreszcie urwał się o zmierzchu i wtedy już miałem pewność. Tylu ludzi... Miałem ochotę wrzeszczeć.

Woda sięgnęła im do kostek, następnie do ramion i w końcu cały łód poddał się oceanowi. Ci, którzy schronili się w swoich domach, utknęli w nich. Zimna woda wypełniała im płuca w miejsce powietrza, gdy bezskutecznie uderzali pięściami w stropy. Czuli nacisk na uszy, gdy zagarniała ich głębia.

Przejechałem dłonią po włosach. Jedno i drugie było pokryte pyłem. Wciąż czułem, jak drapie mnie w gardle.

Na dziobie Alon drapał stworzenie za uszami. Nie miałem pojęcia, czym jest. W Bezkresnym Morzu żyło tak wiele różnych zwierząt, że nikt nie był w stanie rozeznaczyć w nich wszystkich. Zresztą czy miało to jakieś znaczenie? Na pewno była to istota wodna, jeśli oceniać po błonach pławnych. Gdy to odkryłem, poczułem się nieco mniej wielkoduszny. Gdybym wiedział wcześniej, być może w ogóle bym go nie ratował. Niemniej był to malec w jakiś sposób rozdzielony z matką i do tej pory pożarł mi już połowę zapasu ryb, żarłocznie niczym marynarz, który uratował się z katastrofy statku.

Świergocąc, zwierzę przemknęło z dziobu do miejsca, gdzie siedziałem na rufie. Gdy dostrzegło, że zwróciło moją uwagę, usiadło mi schludnie u stóp, otulając się ogonem. Następnie ostrożnie podniosło się i oparło mi na kolanie swoją dłoniokształtną łapkę. Duże, czarne oczy wpatrywały się we mnie z dziwną powagą.

– Mephisolou cię lubi! – zawołał Alon. – Wie, że go uratowałeś.

– Mephisolou? – prychnąłem. – Dałeś temu czemuś imię?

– To on – odparł z uporem Alon.

Ustąpiłem.

– Dałeś mu imię? – Popatrzyłem na zwierzę. Na pewno nie wyglądało na potwornego węża morskiego z podań ludowych, gotowego pożreć całe miasto, jeśli jego mieszkańcy nie zerwą dla niego nasion jałowca chmurowego. – Potężne miano dla takiego malca.

Chłopiec wzruszył ramionami i spuścił wzrok. Palcem u stopy zakreślił krąg na deskach pokładu.

Och, czy naprawdę by mi zaszkodziło, gdybym sprawił mu przyjemność?

– Mephi – powiedziałem. – Mephisolou jakoś niezbyt gładko się wymawia.

– Moim zdaniem dobrze się wymawia – odrzekł Alon, a na twarz wrócił mu uśmiech.

– Zatem nazywaj go sobie jak chcesz. Mephi – oznajmiłem, podając stworzonku dłoń. Spodziewałem się, że poniucho moje palce albo je ugryzie, ono jednak uniosło łapkę i przytknęło ją do mojej dłoni, jakbyśmy byli starymi znajomymi witającymi się na ulicy. Poczułem na ręce gęsią skórkę, włoski podniosły mi się na niej aż do barku. Łagodnie odsunąłem dłoń i odważyłem się pogłodzić sierść na głowie stworka. Cała wcześniejsza powaga zniknęła. Mephi tak mocno napał na głaszczącą go dłoń, że przewrócił się i zwinął w kłębek na pokładzie. Mruczał jak staruszka pałaszująca szczególnie pyszny gulasz.

Roześmiałem się – a po wydarzeniach z wyspy Jelenia Głowa nie spodziewałem się, że tak szybko to nastąpi. Zupełnie jakby mój śmiech go zaniepokoił, Mephi zerwał się i rzucił z powrotem do Alona, wtulił się w niego i znów złapał go za palce. Chłopiec zachichotał. A później, równie raptownie jak nadciągająca burza, zaczął płakać.

– Zniknęło? Naprawdę wszystko zniknęło?

Ludzie. Uwięzieni. Przełknąłem ślinę, świadom spoczywających na mnie oczu chłopca.

– Tak, obawiam się, że tak.

Załkał mocniej. Byłoby jednak gorzej, gdybym ukrywał przed nim prawdę. Rzeczywistość to surowa pani, ale nie można zaprzeczać jej istnieniu.

Mephi skulił się u boku Alona i klepał go łapkami, gdy ten płakał. A później stworzenie popatrzyło na mnie.

Oczekiwało, że coś zrobię? Odchrząknąłem.

– Przykro mi – powiedziałem. Wiatr porwał moje słowa. Gdybyśmy byli wraz z Alonem starymi przyjaciółmi, a on byłby do tego młodym mężczyzną, zabrałbym go do pijalni i wymienilibyśmy szczęśliwe wspomnienia o zmarłych. Przekazałbym mu gałązkę jałowca do spalenia wraz z ciałem, ale był tylko chłopcem, a ja nie miałem tu ani jałowca, ani ciała. – Twoja ciotka mogła się wydostać. – Brzmiało to jak kłamstwo. Nie wyglądało na to, by moje słowa przyniosły mu ulgę. Może i wierzył mi w początkowym szoku zaraz po wstrząsach, ale teraz, na wodach Bezkresnego Morza, naga prawda wyszła na wierzch. Mephi wciąż się we mnie wpatrywał.

– Twoja ciotka była niezłomną kobietą – oznajmiłem, podnosząc głos ponad wiatr. – Gdy ją poznałem, kazała mi obiecać, że cię uratuję. Bała się o ciebie. Tak bardzo cię kochała.

– Mówiła, że robi mi pierogi na ucztę. – Przestał płakać, ale wciąż mówił nieco niewyraźnie. – Gdybym przeżył Festiwal.

Skinąłem głową.

– Gdy się z nią widziałem, właśnie je robiła.

Alon wytarł łzy rękawem.

– Czy to Alanga? Wrócili?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

– Cesarz powinien chronić nas przed nimi. To jego zadanie. – Znowu kłamstwa. Przynajmniej sam je tak odbierałem.

Alon skupił wzrok na horyzoncie. Na wschodzie, gdzie mieszkali jego rodzice.

– Chcę płynąć do domu.

Ja również chciałem zabrać go do domu. Mijali nas inni. Najpierw cesarskie karawele pożerające swoje zapasy bystrokami, później statki handlowe i wreszcie prości ludzie, którzy być może odziedziczyli odrobinę tej substancji. Ja sam wyrzuciłem za burtę całe dwie skrzynki. Gdybym zostawił chłopca, może zdołałbym jedną zachować. Nie. Podczas poszukiwań Emahli dokonałem wielu straszliwych rzeczy, istniały jednak granice, których nawet ja nie zamierzałem przekraczać, w jakkolwiek desperackiej sytuacji bym się nie znalazł. Jak inaczej mógłbym jeszcze kiedyś na nią spojrzeć? Wlokłem się zatem po oceanie łodzią napędzaną jedynie wiatrem w żaglach.

Zerknąłem do map nawigacyjnych. W miarę jak zbliżała się pora deszczowa, wszystkie wyspy przesuwały się na północny zachód, ale te, które wchodziły w skład Małpiego Ogona, zbliżały się obecnie do siebie. Dokonałem szybkich obliczeń, biorąc pod uwagę ruchy wysp. Gdybyśmy zmierzali na wschód, wyspa powoli przemieszczałaby się ku nam w tym samym tempie, co my ku niej.

– Odpocznij trochę – rzekłem. – Będziemy na miejscu o zmroku.

Chłopiec niemal natychmiast zapadł w sen, jakby był konstruktem, a ja osadziłem rozkaz w jego kościach. Mephi skulił się przy nim. Miałem nadzieję, że rodzice Alona nie będą mieć nic przeciwko, że wciskam im zwierzaka.

Stało się tak, jak obiecałem. Przybiliśmy o zmroku, akurat gdy słońce zsuwało się za horyzont. Odpędziłem dłonią gryzące owady, które wyroiły się zaraz po nastaniu ciemności, i zacumowałem łódź. Konstruktor handlowy przy pomocy nie sprawił mi zbyt wielu kłopotów. Często przesuwał wzrok ze mnie na łódź i z powrotem, gdy nie zadeklarowałem żad-

nego towaru. Gdyby konstrukty mogły się męczyć, ten na pewno byłby zmęczony. Przyjął opłatę za cumowanie z kłopotem dzioba i powiedział mi, że wszystko jest w porządku.

Musiałem potrząsnąć Alonem, żeby go obudzić.

– Już jesteśmy – powiedziałem. – Będziesz musiał mi powiedzieć, jak dotrzeć do domu twoich rodziców. – Skinął mi głową i odczepił Mephiego od siebie. – Nie zabierasz go?

Alon ziewnął i pokręcił głową.

– Mephisolou chce zostać z tobą – oznajmił.

– Mephi powinien być z innymi Mephimi. – Nie miałem nic przeciwko, żeby chłopiec go zatrzymał, choć trudno mi było mówić w imieniu jego rodziców. Nie mogłem trzymać zwierzaka na pokładzie. Zanim Alon zdążył zaprotestować, podniosłem stworka, wyszedłem na pomost i przyklęknałem. Opuściłem Mephiego do wody, upewniwszy się, że nie śpi i może pływać. Przekreślił się na grzbiet i patrzył na mnie. – Idź – powiedziałem. – Znajdź innych takich jak ty. – Zupełnie jakby zrozumiał, obrócił się znowu na brzuch i zanurkował.

Wróciłem do Alona i odgoniłem od niego owady.

– Chodźmy – rzuciłem.

Alon przekazywał mi mgliste wskazówki. Jego dom był „niedaleko” od przystani i „obok dużego drzewa”. Szedłem za nim w mroku, a wokół nas w krzakach śpiewały świerszcze. Panował większy rozgardiasz niż zwykle o tej porze, inni uchodźcy szukali schronienia niczym żółwie morskie wciągające się na brzeg w nadziei, że znajdą miejsce na złożenie jaj. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed skromnym domem krytym strzechą i stojącym obok wysokiego bananowca. Pomimo niejasnych wskazówek wyglądało na to, że trafiliśmy na właściwy budynek. Zapukałem głośno do drzwi.

Otworzył mi mężczyzna o pobladłej twarzy i natychmiast zalał się łzami, gdy zauważył Alona. Uklęknał, objął chłopca i trzymał go. W głębi pomieszczenia dostrzegłem leżącą

na łóżku kobietę z zaczerwienioną twarzą i potem perlącym się na czole. Na krótką chwilę skrzyżowaliśmy spojrzenia. Znałem ten pusty wzrok. Choroba odłamkowa. Gdzieś ktoś używał jej odłamka kości i to niemal wysączyło z niej życie. Nic dziwnego, że Danila tak desperacko pragnęła uratować chłopca. Nie potrafiłem dłużej patrzeć w te oczy.

Spojrzałem zatem na łysinę ojca Alona wciskającego twarz w bark chłopca.

– Słyszeliśmy – rzekł. – Słyszeliśmy, co się stało.

Nie byłem pewien, co powiedzieć. Owszem, przywoziłem im syna, ale on stracił siostrę i wkrótce miał stracić żonę. Gdy mężczyzna wreszcie przestał tulić malca, podniósł ku mnie wzrok.

– Danila poprosiła mnie, żebym go ocalił – wyjaśniłem. – Byłem jej winien przysługę.

– Chwila – oznajmił, po czym zniknął we wnętrzu domu. Wrócił zaraz z dziesięcioma monetami, samymi srebrnikami. Mała fortuna jak na rybaka. Wcisnął mi je. Przyjąłem dar z wdzięcznością. Dopiero co wrzuciłem do wody dwie skrzynki bystrokamienia i nikt nie powinien oczekiwać, że odmówię zapłaty. Nie byłem mnichem. A nawet gdybym nim był, wątpiłem, czy mury klasztoru ocaliłyby mnie od Ioph Carn.

– Dołączysz do nas przy posiłku? Choć tyle możemy dla ciebie zrobić. Zresztą i tak nikt nie będzie tej nocy spał, nie po takich wieściach.

Alon klęczał przy boku matki i delikatnie gładził ją po włosach.

Wołały mnie twarde deski pokładu i koc na łodzi. Może i nie zdołam w niej dzisiaj zasnąć, ale przynajmniej będę miał gdzie położyć głowę.

– Rankiem stawiam żagiel – powiedziałem. – Ale dziękuję ci. Szukam kogoś. Łodzi trochę mniejszej niż cesarska karawela, o ciemnych burtach i niebieskim żaglu.

Mężczyzna skinął głową, a mnie przyspieszyło serce.

– Widziałem taką łódź zaledwie wczoraj. Zapewne zatrzymała się po zapasy, ale jeśli próbujesz ją doścignąć, lepiej się pospiesz. Łowiłem ryby, a ona przemknęła obok mnie szybciej niż delfin sunący na falach. Z tego co widziałem, na pokładzie była tylko jedna osoba. Kierowała się na wschód. Moim zdaniem na Nylan.

Emahla. Znajdę odpowiedzi. Znajdę ją. Musiałem tylko dogonić tę łódź.

– Dziękuję ci. I jeszcze jedno. – Gestem wskazałem mu, żeby się do mnie zbliżył. – Twój syn. Uratowałem go, zanim rozpoczął się Festiwal Trybutu. Zapiski zniknęły. Zrób mu bliźnę w odpowiednim miejscu i nikt się nie dowie.

Ojciec Alona odsunął się z oczyma wilgotnymi od łez. Odłamek Alona nigdy nie zostanie użyty do napędzania konstruktów. Nigdy nie będzie musiał się obawiać, że w każdej chwili coś może wyssać z niego życie.

– Kim jesteś? – zapytał.

Zatoniecie wyspy wstrząsnęło mną do szpiku kości, pozbawiło mnie beztroski. Teraz jednak na nowo odnalazłem jej część. Komu ten człowiek to zdradzi? Przecież uratowałem mu syna.

– Jestem Jovis. Najlepszy przemytnik w cesarstwie. – Podciągnąłem rękaw, żeby pokazać mu tatuaż nawigatora. Naprawdę powinienem zacząć go ukrywać.

Po tych słowach odwróciłem się i poszedłem znów na przystań. Od wielu dni nie czułem się tak zadowolony z siebie, a w kieszeni brzęczały mi srebrne monety.

Byłem zdecydowanie mniej radosny, gdy obudziłem się rankiem, łapczywie chwytając dech i czując ból szczęk. Musiałem zaciskać je w nocy, gdy raz za razem śniłem o targanej wstrząsami wyspie, o tym, jak zapada się pod wodę. Śniłem też, że znajduję się na niej, moje ciało opada w bezkresną

głębie, otacza mnie ciemność, a ciężar wody miażdży mi płuca. Wciąż jednak byłem na mojej łodzi, otoczony spokojną wodą, a moje dudniące serce robiło więcej hałasu niż delikatne obijanie się burty o pomost.

Przystań wokół mnie była pełna, wiele sponiewieranych łodzi wyciągnięto też na brzeg. Wyspa Jelenia Głowa nie była małym łądem i choć większość ludzi nie zdołała uciec, niektórym się to udało. Cesarz będzie musiał przysłać konstrukty, żołnierzy, żywność. Powstały chaos przynajmniej da mi odrobinę wytchnienia od Ioph Carn. Jeśli będę miał naprawdę wielkie szczęście, uznają, że zginąłem.

Choć chętnie wypłynąłbym o brzasku, musiałem zacząć odrabiać pieniądze, które straciłem, gdy wyrzuciłem dwie skrzynki bystrokamienia. Owinąłem zatem tatuaż paskiem materiału i udałem się na targ. Nie był to wielki, rozwlekły labirynt kupieckich straganów. Składał się jedynie z dwóch alejek, na których smród odpadków mieszał się z wonią suszonej papryki, smażonego koźlego mięsa i wypieków. Ciasne uliczki stały się jeszcze ciasniejsze z powodu uchodźców z Jeleniej Głowy, szukających zapasów i pragnących dołączyć do swoich bliskich na innych wyspach. Dokonałem w głowie paru szybkich obliczeń i zatrzymałem się przy stoisku ze słodkimi melonami. Rosły głównie na południowych wyspach w porze suchej, a jako że rozpoczynaliśmy właśnie siedmioletnią porę deszczową, zyskają na wartości. Poza tym staną się jeszcze trudniejsze do zdobycia, skoro Jelenia Głowa zatonęła. Targowałem się z handlarką z bezlitosną skutecznością, choć cena i tak okazała się wyższa, niż by mi się podobało. Właśnie skończyła obwiązywać skrzynki sznurkiem, a ja pochyliłem się, żeby je dźwignąć, gdy z prawej strony dobiegł mnie głos:

– Dobrze cię sportretowali na plakatach. To było sprytne, płacić sierotom, żeby je zdejmowały. Wygląda jednak na to, że cesarstwo naprawdę chce ukarać cię dla przykładu.

Kapelusz. Zawinąłem tatuaż, przebrałem się z żołnierskiego munduru, ale nie zakryłem głowy. Czułem się tak, jak musi czuć się królik, gdy pętla zaciska mu się na szyi. I podobnie jak królik, zamierzałem wierzgać.

– Oczy – powiedziałem, obracając się z melonami w rękach do mówiącej. – Nie oddali ich prawidłowo.

Philine opierała się o ścianę budynku ze skrzyżowanymi stopami, w pełni zrelaksowana. Miała na sobie pikowaną tunikę bez rękawów, ukazującą umięśnione ramiona. Przy pasie wisiała jej krótka drewniana pałka, choć wiedziałem, że w innych miejscach ma też poukrywane noże.

– Na plakatach namalowali cię jako przystojniejszego – oznajmiła.

– Serio? Od większości ludzi słyszałem co innego, gdy wypytywałem.

Potrafiła w bardzo osobliwy sposób wywracać oczyma tak, by jednocześnie nawet na moment ich ze mnie nie spuszczać.

– Tak. Mówili mi, że uważasz się za zabawnego.

To zły znak, że posłali za mną Philine. Nie rzucała się w oczy. Miałem wrażenie, że gdybym oderwał od niej spojrzanie, mógłbym pomylić ją z fragmentem ściany. Jej zdolność odnajdywania ludzi dla Ioph Carn stanowiła temat pijackich opowieści przy ogniu – jeśli widownia była skłonna w nie uwierzyć. Uniosłem wolną dłoń wnętrzem w jej stronę.

– Byłem właśnie w drodze do Kaphry. – Rozejrzałem się dookoła i nachyliłem bliżej niej. – Mam dwie pełne skrzynki bystrokamienia. Powinno to pokryć mój dług za łódź, zresztą z naddatkiem.

Jej dłoń przesunęła się na pałkę.

– Źle zrobiłeś, że w ogóle zaciągnąłeś ten dług. Miałeś skończyć go spłacać, zanim odpłyniesz. Teraz to nie dług, tylko kradzież, a dobrze wiesz, co Kaphra myśli o tych, którzy go okradają.

Kątem oka dostrzegłem mężczyznę i kobietę obserwujących nas z niewielkiej odległości. Oboje mieli pikowane tuniki i broń u boku. Kolejni Ioph Carn. I nie tak subtelni jak Philine.

– Wiecznie miał dla mnie kolejne zadania. Minęłoby pół życia, zanim spłaciłbym tę łódź. – Nie byłem pewien, dlaczego kłócę się z Philine. Nie była władna, by mnie ułaskawić, ale wyglądało na to, że w ten sposób kupuję sobie czas. Na wzmiankę o Kaphrze kobieta, od której kupiłem melony, umknęła sprzed stoiska i teraz starała się wtopić w swoje towary. Większość kupców płaciła jakąś formę haraczu Ioph Carn, ale może ona tego nie robiła. Ostatecznie była to niewielka wyspa.

– Tak – odparła Philine. – I sam zgodziłeś się na te warunki.

– Moja łódź jest zacumowana w porcie – odparłem. – To powinno zająć tylko chwilę.

Zastanawiała się. Dwie pełne skrzynki bystrokamienia stanowiły fortunę i nieważne, jak Kaphra mógł być na mnie zły, nie zrezygnuje z dodatkowych zasobów. Przemysłowcy Ioph Carn zużywali sporo tej substancji, gdy musieli umykać przed cesarskimi okrętami. Philine obróciła się, żeby gestem dać znać pozostałej dwójce, a ja wykorzystałem tę okazję, by uciec.

Może nie byłem tak solidnie zbudowany jak oni, ale potrafiłem się szybko poruszać i wiedziałem, jak przemieszczać się w tłumie. Dwie skrzynki melonów kołysały mi się u boku, a sznurek wbijał w palce. Straciłem już bystrokamię, nie mogłem pozwolić sobie też na stratę owoców. Uchodźcy wałęsali się po alejkach jak duchy, cisi i zasępieni. Żaden z nich nie był na tyle żywotny, by mnie zatrzymać albo choćby zwrócić uwagę, gdy ich omijałem.

Philine będzie za mną podążać bez obciążenia. I nawet gdyby nie widziała, dokąd poszedłem, znajdzie mnie.

Postrzegałem sytuację tak, że nie miałem większego wyboru. Przed siedmiu laty, w poranek zniknięcia Emahli, w oddali, tak niewyraźnie, że uznałem to za sen, widziałem ciemną łódź z niebieskimi żaglami. Mrugnąłem i zniknęła.

Próbowałem jakoś ułożyć sobie życie bez Emahli, ale nikt nie chciał nając półpoyerskiego nawigatora nieposiadającego rekomendacji Akademii. Gdy Ioph Carn skontaktowali się ze mną i przedstawili swoją ofertę, wydawała się najlepszym sposobem, żeby znaleźć się gdzieś indziej, zostawiając za sobą smutek.

Później zaś, przed dwoma laty, znów ujrzałem łódź o niebieskich żaglach, tym razem wyraźniej, lecz oddalała się szybciej, niż uznałbym za możliwe. Zawodziłem Emahlę przez pięć długich lat, nie wiedząc, dokąd się udać ani czego szukać, zamiast zaufać swoim oczom. Przestałem zatem słuchać Kaphry i ruszyłem własną drogą. Dwa lata poświęciłem ściganiu plotek skradzioną łodzią, jednocześnie wymykając się Ioph Carn i posyłając im wszelkie pieniądze, jakie tylko mogłem, żeby pokryć dług. Zamierzali mnie powstrzymać teraz, gdy znalazłem się bliżej niż kiedykolwiek?

Nie. Nie tym razem. Złożyłem obietnicę.

Przeciskałem się uliczkami, dysząc chrapliwie, przy każdym kroku skrzynki z melonami obijały mi się o udo. Przełykały wokół mnie twarze: stare i młode, ogorzałe i gładkie, ale wszystkie znużone. Niektóre wciąż pokrywał pył z zawalonych budynków, widać było na nich ślady łez. Przystań znajdowała się tuż za rogiem.

Usłyszałem za sobą krzyk i odruchowo obejrzałem się przez ramię. Sługusi Philine przedzierałi się przez tłum ze znacznie mniejszym wdziękiem niż ja. Jedno z nich przewróciło wiadro z rybami i srebrzysty strumień wylał się na uliczkę.

Ale gdzie była Philine?

Skręciłem za róg akurat w samą porę, by kątem oka dostrzec ją, jak wyskakuje. Grzmotnęła mnie barkiem z taką siłą, że straciłem dech. Sznurek łączący skrzynki wypadł mi z dłoni. Miałem wrażenie, że patrzę z oddali, jak upadam. Uderzyłem o ziemię ramieniem, bo dłonie wciąż starały się łapać melony.

– Nie masz bystrokamienia – stwierdziła Philine.

– Mam melony. – Zakrztusiłem się, gdy wreszcie zdołałem zaczerpnąć tchu. – Możecie je sprzedać z solidnym zyskiem.

– Nie jestem zainteresowana – odparła beznamietnie.

– Wysyłałem do Kaphry pieniądze oraz prowizje przemysłowe. Dawałem mu udział ze wszystkich moich zysków. Nie chcę kłopotów.

Stanąła nade mną, zasłaniając wznoszące się słońce. Wąska, czarna macka włosów wymknęła jej się z warkocza i chwiała na policzku w bryzie od oceanu. Pozostałych dwoje Ioph Carn zatrzymało się przy niej, dysząc ciężko. Philine wyciągnęła pałkę.

– I właśnie dlatego nie zamierzamy cię zabić.

Ulica nigdy nie oczyszcza się tak szybko, jak wtedy, gdy Ioph Carn zamierzają spuścić komuś manto.

Jeszcze gdy spadały na mnie pierwsze ciosy, zastanawiałem się, jak mógłbym im się wymknąć, jak mógłbym ich przegonić. Ból eksplodował w barkach i plecach, czerwienią przysłaniając mi pole widzenia. Poszukiwałem czegoś, czegokolwiek, co mogłoby pomóc mi w tej sytuacji. Miałem przed sobą jedynie uliczny pył i kilka małych kamyczków. Rzuciłem nimi w prześladowców, a Philine odtrąciła je dłonią osłoniętą rękawiczką.

– Nie sprawia mi to przyjemności – rzekła. – Gdybyś się nie ruszał, poszłoby szybciej.

Wierzyłem, że nie robi tego dla rozrywki, ale jej towarzysze chyba nie kierowali się taką samą filozofią. Kopnięcie

w żebra sprawiło, że rozłożyłem się w kurzu. Dostrzegłem błysk uśmiechu, białe zęby, które mignęły niczym spód ptasiego skrzydła.

Kolejne warstwy bólu nakładały się na siebie – ostry nad tępy, wyrazisty nad tym płynącym z siniaków. Częściej słyszałem uderzenia pałki Philine niż je czułem, dudniące w moje żebra niczym pałeczka perkusyjna, zupełnie jakby moje ciało było instrumentem. Gdyby ktoś miał ochotę, mógłby zatańczyć do tego rytmu. Świat wokół zamglił się, wyciszył, zupełnie jakbym postrzegał wszystko przez wełniany koc.

– Dość – oznajmiła Philine.

Jej sługusi przestali mnie bić i jednocześnie cofnęli się o krok, posłuszni niczym konstrukty. Oblizałem wargi i poczułem smak miedzi.

– Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek miałeś bystrokamień, który mi obiecałeś. I nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek będziesz go miał – powiedziała. – Mam cię zabrać do Kaphry.

Nie czekała, aż dam jakikolwiek znak, że ją usłyszałem, ale i tak nie zdołałbym tego zrobić. Bolał mnie nawet język. Pewnie ugryzłem się w niego podczas bicia. Miałem wrażenie, jakbym z każdym ruchem odkrywał nowe urazy.

Musiałem dostać się na przystań, popłynąć za tamtą łodzią, odnaleźć Emahlę. Jeszcze mnie nie pojмали. Nie będę czuł się pojmany, dopóki nie zawloką mnie przed Kaphrę ze związanymi rękoma i nogami. Philine wyciągnęła dłoń, żeby mnie podnieść, ale odtrąciłem ją.

– Pójdę z wami – rzekłem, wstając. Następnie sięgnąłem do sakiewki u boku, wyjąłem kilka pasków suszonego mięsa i wcisnąłem je sobie do ust. Przełknąłem, odetchnąłem, rozciągnąłem kręgosłup i cofnąłem barki. – Nie podchodźcie – oznajmiłem, wyciągając dłoń. – Nie mam ochoty was krzywdzić. Kaphrze by się to nie spodobało.

Troje Ioph Carn popatrzyło po sobie ze zdezorientowaniem.

– Co on zjadł? – spytała sługuska.

Jej towarzysz jedynie wzruszył ramionami.

Philine zbliżyła się o krok.

Jestem silny. Żebra nie wbijają mi się ostrymi krawędziami w płuca. Na litościwe niebiosy, ależ boli. Nie. Nie ma bólu. Musiałem w to wierzyć, inaczej oni nie uwierzą. Pozwoliłem, by postawa przemawiała w moim imieniu. No, czekam. Sprawdźcie mnie.

– A może Kaphra nie opowiadał wam o tym, jak kazał mi napaść na klasztor?

Philine zmrużyła oczy.

– Nie masz kory jałowca chmurowego – rzekła.

Właśnie o to chodziło – zawsze trzeba było skłonić przeciwnika, żeby wyraził domysły na głos.

Uświadomiła sobie swoją pomyłkę, gdy tylko słowa te opuściły jej usta. Dwoje bandziorów Ioph Carn cofnęło się. Nikt od lat nie widział walczącego mnicha, lecz historie o nich nie przestawały krążyć, z każdym powtórzeniem obrastając coraz bardziej w legendę.

– Jest po trzykroć przeklętym kłamcą. Jak myślicie, ile już razy wywinął ten numer? Nie ma żadnej kory – twierdziła Philine, choć krok, jaki wykonała naprzód, wydawał się niepewny.

Owszem, już raz wywinąłem ten numer, ale nie musiała o tym wiedzieć.

– A skąd wiesz, że jej nie ma? – spytał jeden z podwładnych.

Obróciła się, żeby na nich warknąć, i tym samym spuściła ze mnie wzrok.

– Nie bądźcie głupi. Mnisi zaparzają korę w formie herbaty, nie gryzą jej na sucho. Nawbijaliby sobie drzazg w gardło!

Taka dekoncentracja w pełni mi wystarczyła. Cofnąłem się jeszcze o krok i pociągnąłem jeden ze straganów, blokując nim uliczkę pomiędzy nami.

Gdybym odnalazł Emahlę, całe to życie, długi i bicie byłyby tego warte. Zgarnąłem skrzynki z melonami i pobiegłem w stronę przystani, ścigany okrzykami. Garbiłem się i oddychałem z wysiłkiem przez odczuwany ból, z mozołem stawiałem kolejne kroki. Kolana mi skrzypiały, ale nie przestawałem biec.

Kiedy otarłem sobie twarz rękawem, zobaczyłem, że stał się czerwony. Mój puls zdawał się wibrować, gorący od każdego siniaka. Kupiłem sobie czas, ale nie miałem pewności, czy wystarczająco wiele.

Nie słyszałem za sobą kroków, ale słyszałem wrzaski, gdy Ioph Carn odtrącał ludzi z drogi, choć wciąż nie opuściło mnie wrażenie mgły w uszach. Przykleknąłem i najszybciej jak umiałem rozwiązałem cumę mocującą łódź.

Gdy wskoczyłem na pokład, przywitał mnie świergot. Rufa stuknęła o pomost, kiedy rozglądałem się za źródłem hałasu. Mephi siedział w pobliżu dziobu i w łapkach trzymał rybę. Znow zaświergotał. I podniósł rybę, jakby prosił mnie, żebym ją wziął. Nie miałem na to czasu.

– Nie mogę trzymać zwierzaka na łodzi – powiedziałem mu. Ciosy w żebra musiały wstrząsnąć czymś w moim mózgu, bo rozmawiałem z nim jak z człowiekiem. – Musisz znaleźć swoich. – Wskazałem wodę.

Świergot, dotąd łagodny i przyjemny, stał się donośniej. Zwierzak brzmiał jak wiewiórka karcąca mnie za to, że podszedłem zbyt blisko drzewa, tylko sto razy głośniej. Wiatr wiał już na wschód, żagiel wydał się, łódź ruszyła. Pomiędzy budynkami pojawiła się Philine z poczerwieniałą twarzą i pałką w dłoni.

Jeszcze nie byłem bezpieczny.

Złapałem Mephiego za kark, gotów wyrzucić go za burtę. Pod wilgotną zewnętrzną warstwą sierści moje palce musnęły gęsty i suchy podszerstek.

Jego wołania stały się błagalne, skowyczał przenikliwie. Pierś ścisnęła mi się od niemal instynktownej paniki. W końcu był tylko dzieckiem. Został sam na Bezkresnym Morzu i choć go uratowałem, to później zabrałem na tę inną, zupełnie nieznaną mu wyspę. A co, jeśli nie zdoła znaleźć podobnych sobie istot? A co, jeśli nie będzie umiał upolować dość, by wyżyć? Czy zostawiałem go na powolną i bolesną śmierć? Czy będzie mnie to cokolwiek kosztowało, jeśli pozwolę mu zostać nieco dłużej?

Rozczarowany swoją słabością, upuściłem go z powrotem na pokład.

– Dobrze. Tylko nie wchodź mi w drogę.

Skowyt się urwał. Malec nie umknął, jak się spodziewałem, tylko zamruczał z satysfakcją i złożył rybę u moich stóp.

Rzuciłem się do żagli, znów rozmyślając, czy przy Jelekiej Głowie tylko mi się wydawało, że futrzak płynie w stronę mojej łodzi. Westchnąłem. Zapewne nigdy się tego nie dowiem.

– Będę tego żałował, prawda?

Nie miałem pojęcia, jak bardzo.



8

LIN

WYSPA CESARSKA

Wyciągnęłam orzech.

– No chodź, mały szpiegu – powiedziałam łagodnie. – Nie przestaniesz przez to wykonywać rozkazów. Tylko jeden orzech. Nic ci się nie stanie.

Konstrukt szpiegowski poruszył kocimi uszami i pogładził się po pyszczku łapami zbyt dużymi jak na wieściocze ciało. Owinął ogon wokół belki, dzięki czemutrzymał się mocno. Konstrukty nie posiadały szczególnej osobowości, ale ten obserwował orzech jednym okiem.

Rękawy liberii dla służby drapały mnie w nadgarstki, gdy sięgałam do szarfy i wyciągałam kolejny orzech. Demonstra-

cyjnie pokazałam je razem. Teraz dysponowałam już pełną uwagą istoty. Rozwinęła ogon i podeszła o pół kroku.

– O, właśnie. No, chodź. Bystrokamień nigdzie nie zniknie. – Światło słoneczne wdzierало się przez szpary w okiennicach do szopy, malując jasne paski na wytartej drewnianej podłodze. Standardowe cesarskie skrzynki z bystrokamieniem poustawiano jedne na drugich tak, że sięgały niemal do sufitu. Na jedną z nich narzucono kawałek tkaniny, na której położono miarkę.

Konstrukt szpiegowski podeszedł do mnie jeszcze kilka kroków, po czym wskoczył na najwyższą ze skrzynek i poruszył ogonem oraz wąsami. Wcześniej widziałam, jak skrada się za mną, gdy chodzę po pałacowych korytarzach. Ojciec mnie pilnował. Nie oznaczało to jednak, że nie mogę pozwolić sobie na odrobinę przyjemności. Tej fortuny w bystrokamieniu nie pilnowali strażnicy, ale konstrukty szpiegowskie obserwowały całą służbę. Ten tutaj, podobnie jak wszystkie pozostałe, składał raporty Ilith, Konstruktorowi Szpiegów. A Ilith wolała pożerać złodziei powoli, zamiast ich więzić.

Pazury zachrobotały na drewnie, gdy stworzenie podkładało się bliżej. Staralam się nie poruszać, choć ręka bolała mnie już od wyciągania dłoni. Wtedy konstruktor wziął pierwszy orzech z moich palców. Zwierzę natychmiast czmychnęłoby z łupem, ale konstruktor został na miejscu i zabrał się do jedzenia. Zauważyłam go, więc dał sobie już spokój z próbami pozostawiania w ukryciu, bo jaki miałoby to cel? Przyglądałam się, jak jego elementy łączą się płynnie ze sobą, jakby taki się urodził. Ojciec wykonał dobrą robotę.

Zatonięcie Jeleniej Głowy sporo zmieniło. Konstruktor Biurokracji martwił się o uchodźców i o to, dokąd trafią. Konstruktor Handlu nie przestawał mówić o stracie kopalni bystrokamienia. Gubernatorzy wysp zaczęli już pisać do ojca – kilkoro oferowało, że przygarną część uchodźców, czym starali

się przypodobać, inni zaś wyraźnie oznajmili, że nikogo nie zamierzają brać. Sytuacja w cesarstwie już wcześniej była niestabilna, a to zdarzenie jeszcze pogłębi rozłam. Nie można też było zapominać, dlaczego wyspa w ogóle zatoneła. Próbowalam o tym nie myśleć, ale co się stanie, jeśli wszystkie wyspy znajdą się pod wodą? Co, jeśli było to następującym co kilkadziesiąt lat elementem jakiegoś wzorca migracyjnego wysp, o którym nie mieliśmy pojęcia? Wzięłam głęboki oddech. Gdyby to była prawda, nie mogłabym niczego zmienić. Musiałam skupić się na rzeczach, na które miałam wpływ, a do tego zaliczało się utrzymanie pozycji dziedziczki ojca, żebym po jego śmierci mogła zająć jego stanowisko.

Odciągnęłam szorstki rękaw liberii służebnej i podałam konstruktorowi drugi orzech. Tym razem przysunął się jeszcze bliżej i przyjął prezent. Wpatrywał się we mnie paciorkowatymi oczyma. Czy konstruktor mógł w ogóle kogoś lubić? Ten lubił orzechy, więc dlaczego nie miałby darzyć sympatią osoby? A jeśli rzeczywiście umiał cieszyć się czyimś towarzystwem, to czy wiążąca się z tym lojalność mogła kiedykolwiek przeważyć nad rozkazami wpisanymi w jego odłamki? Już wcześniej wprawiałam konstruktorów w dezorientację, wymuszając sprzeczności w ich rozkazach. Cztery pierwszoplanowe istoty pomagające ojcu rządzić wydawały się posiadać pewną dozę osobowości, ale co z osobnikami trzecioplanowymi, takimi jak ten szpieg?

Przysłałam tu jednak z innych powodów. Widziałam tych szpiegów, jak obserwują służbę, i miałam nadzieję, że ojciec nie zmodyfikował w pełni ich pierwotnych rozkazów. Może moje wspomnienia nie sięgały tak daleko wstecz jak u Bayana, ale bliżej przypatrywałam się światu, który mnie otaczał. Widziałam kiedyś, jak w swój wolny dzień służąca udaje się do miasta. Kiedy na liberię narzuciła płaszcz, podążający za nią konstruktor szpiegowski po prostu się zatrzymał.

Zatem zabrałam z pralni tunikę i się przebrałam.

Stworzenie wpatrywało się we mnie, gdy wyciągałam dłoń i zabierałam kawałek bystrokamienia z luźnej kupki. Poruszyło nosem, ale nie zareagowało w żaden inny sposób. Przysunęłam bystrokamień do piersi, po czym demonstracyjnie włożyłam go do kieszeni w szarfię.

Przez chwilę wydawało mi się, że błędnie oceniłam sytuację. Konstruktor siedział na skrzynce i obserwował mnie tak, jakby czekał na kolejny orzech. Nagle drgnęły mu ucho, nos i głowa. Przemknął obok mnie i wślizgnął się w szczelinę pod drzwiami. Spieszył właśnie do pałacu, do tunelu na dziedzińcu o rozmiarach zalewie wystarczających, żeby pomieścić jego małe ciało. Przedostanie się nim do siedziby Ilith i doniesie swojej pani, że służąca dokonała kradzieży.

Gdy już upewniłam się, że zniknął, odłożyłam większość bystrokamienia, zostawiając sobie odrobinę, na wypadek gdybym kiedyś go potrzebowała. Ojciec nigdy nie zakazał mi dostępu do tej substancji. Gdyby chciał ukarać kogoś ze służby, mogłabym powiedzieć mu, że prosiłam, by przyniesiono mi trochę na potrzeby eksperymentów.

Spojrzałam przez szczeliny w okiennicach i zerknęłam za skrzynki, szukając ewentualnych innych konstruktorów szpiegowskich. Odkryłam, że jestem naprawdę sama.

Klucz, który odebrałam przed dwiema nocami od kowala, ciążył mi w szarfię. Miał inną główkę niż oryginał, ale przypuszczałam, że ojciec zorientowałby się, gdyby go zobaczył. Sama świadomość posiadania go kazała mi chodzić w odmienny sposób, nie miałam co do tego wątpliwości.

Służba wykonywała swoje zadania rankami i wczesnymi wieczorami przed kolacją. Ojciec zabrał Bayana za jedne z zamkniętych drzwi, żeby mogli poćwiczyć. Pałac należał do mnie.

Kiedy wkroczyłam tam z powrotem, całość wydawała mi się odmienna. Wlewające się do środka światło słonecz-

ne wyglądało na jaśniejsze, a wszystko sprawiało wrażenie, jakby wibrowało odczuwanym przeze mnie podekscytowaniem. Miałam w kieszeni klucz otwierający jedne z licznych drzwi, do których odmówiono mi dostępu.

Ruszyłam lewymi schodami biegnącymi w przedsionku. Poblady fresk u ich szczytu stanowił jedyną tutejszą pozostałość po Alanga. Moi przodkowie zbudowali pałac wokół tej ściany, by przypominała, z kim walczyliśmy.

Szereg mężczyzn i kobiet stał ramię w ramię z zaciśniętymi dłońmi i zamkniętymi oczami. Alanga... Nie byłam pewna, kto jest kim, który to Dione, która to Arrimus. Musiałam to wiedzieć, zanim straciłam wspomnienia. Choć farba spłowiała, wciąż było widać bogactwo ich szat. Tkanina wyglądała na miękką. Powstrzymałam ochotę, żeby przejechać palcami po murale, gdy go mijałam.

Zaczęłam od największych, najbardziej ozdobnych drzwi. Przy dwóch z nich klucz dosłownie zatonął w ogromnych zamkach. Później straciłam ambicję i zaczęłam testować go we wszelkich drzwiach sprawiających wrażenie, jakby mógł do nich pasować. Im szybciej je odnajdę, tym więcej będę miała czasu, żeby je zbadać. Sesje treningowe ojca i Bayana trwały zwykle do kolacji, ale nie mogłam zakładać, że zawsze tak będzie. Serce biło mi coraz szybciej z każdą kolejną porażką.

A co, jeśli się pomyliłam? Jeśli ten klucz niczego nie otwierał? Jeśli ojciec umieścił go z pozostałymi jako pułapkę? Jeśli potrzebował tylko dobrej wymówki, żeby mnie wygnąć i wynieść Bayana na moje miejsce?

Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Poznam magię kości i dowiodę mu, że jestem godna, by przejąć jego pozycję. Dowiodę mu, że nie jestem wybrakowana. Powtarzałam to sobie w głowie niczym litanię. Nic innego się nie liczyło.

Gdy klucz przekręcił się w zamku, zarejestrowałam to dopiero po chwili. Były to małe, nierzucające się w oczy drzwi na

końcu korytarza na parterze, pokrywający je lakier zmatowiał i niemal zaczynał się łuszczyć. Blask słoneczny ogrzał mosiężną klamkę. Rozejrzałam się ostatni raz po korytarzu i weszłam do środka. Drzwi zamknęły się za mną z cichym stuknięciem.

Otoczyła mnie ciemność. W pomieszczeniu nie było okien. Mogłam wpaść na to, żeby zabrać lampę, ale w gorączce przygotowań nie przyszło mi to do głowy. Wyobrażnia podsuwała mi bestie czające się w mroku. Może nawet Ilith, która czekała tylko, aż podejść bliżej, żeby mnie pochwytać? Przełknęłam ślinę i oddychałam cicho, czekając, aż mój wzrok dostosuje się do otoczenia. Pod drzwiami przedostawał się wąski pasek światła, dzięki któremu zaczęłam dostrzegać bezbarwne kształty.

Wystarczyło mi to, żebym dostrzegła lampę wiszącą pod nadprożem, a poniżej niej hubkę z krzesiwem. Zapaliłam światło drżącymi palcami, niepewna, czy czuję podniecenie, czy grozę. Gdy obróciłam lampę w stronę pomieszczenia, ujrzalam ściany wypełnione szufladami – i żadnych konstruktyw gotowych mnie pożyć.

Szuflady zostały oznaczone. Były niewielkie, jak te, w których przechowywało się pierścionki albo kolczyki. Z kilku po mojej prawej wystawały małe paski papieru zapisane odręcznie. Podeszłam do nich, słysząc, jak parkiet skrzypi pod moimi stopami. Kiedy przyjrzałam się bliżej, rozpoznałam pismo Bayana.

A-122 – nie żyje

83-B-4 – żyje

720-H – żyje

I tak dalej, kolejne gryzmoły na papierze. Na znak solidarności poczułam skurcz w dłoni. Kiedy jednak spojrzałam na etykiety na szufladach, poczułam grozę szarpiącą mi gardło. *Port Thuy – Jelenia Głowa – 1510 r.* Wiedziałam, co znajdę, gdy otworzę szufladkę, ale i tak to zrobiłam.

W środku, na aksamicie, leżały małe odłamki kości, odznaczające się bielą na czerwonym tle. Tak samo musiały wyglądać, gdy dłutem oddzielono je od ciał ich właścicieli. Bayan tu bywał, testował odłamki z Jeleniej Wyspy, sprawdzając, którzy z właścicieli wciąż żyją, a którzy zmarli, zatem w ich kościach nie pozostało już życie mogące zasilać konstrukt. Ich odłamki stały się obojętne.

Minęło pięć dni, odkąd przyszły wieści o losie wyspy, a tymczasem właśnie nad tym pracował ojciec? Nieważne, jak złożone były jego pierwszopoziomowe konstrukty, nie były one w stanie rządzić cesarstwem. Kraj go potrzebował, a jednak on katalogował szczątki po katastrofie, sprawdzał, które się jeszcze do czegoś nadadzą.

Zamknęłam szufladkę. Nie byłam pewna, kiedy zaczęłam zdawać sobie sprawę, że władza mojego ojca słabnie. Może nawet jeszcze przed tym, jak zachorowałam. Pamiętałam jednak, jak trzęsła mu się ręka, gdy obracał stronice umowy handlowej, jak mrużył oczy, wpatrując się w ich treść, aż wreszcie z frustracją dał za wygraną.

– Przejrzyj to – polecił, rzucając umowę Konstruktorowi Handlu, po czym udał się do jednego ze swoich sekretnych pokojów i zamknął się w nim.

Być może jego dusza pozostawała dość silna, żeby zasilać dziesięć konstruktyw, ale jego ciało stawało się coraz słabsze.

Uniosłam lampę i szłam wzdłuż rzędów szuflad, aż znalazłam *Cesarstką* i rok 1508. Wszystkie odłamki oznaczono literami i cyframi. Gdzieś musiał znajdować się katalog. Rzędy szufladek sięgały niemal do sufitu i co kawałek pod ścianami ustawiono drabiny. Gdy przyklękłam, zobaczyłam, że szuflady bliżej podłogi są szersze i wyższe. Odstawiłam lampę na bok i wysunęłam jedną z nich.

W środku leżała książka. Okładkę wykonano z jakiejś łuskowatej skóry, lecz przyćmione światło nie pozwalało mi

stwierdzić, czy zielonej, czy też niebieskiej. Przesunęłam po niej palcami, niemal spodziewając się znaleźć kurz, nie było go jednak. Przyżółcone kartki pachnące atramentem i starym klejem zaszeleściły, gdy otworzyłam księgę. Tak wiele stron, tak wiele imion. Ogrom Cesarstwa Feniksa nigdy nie przestawał mnie zaskakiwać, gdy stawałam w obliczu jego świadectw. Mogłam przesledzić swój rodowód do korzeni, do ludzi, którzy walczyli z Alanga i ostatecznie ich pokonali.

Stronice bliżej początku były bardziej kruche. Odnalazłam rok 1508, a później *Numeen* zapisane schludnym piśmem konstruktów biurokratycznego. 03-M-4. Zamknęłam książkę i poprawiałam ułożenie kartek, aż wyglądały na nietknięte. Później zabrałam się za poszukiwania 03-M-4.

W miejscu, gdzie powinien znajdować się jego odłamek, ziała pustka. Zalała mnie ulga, a później wstyd, że w ogóle ją poczułam. Pod etykietką dopisano coś maleńkimi literkami. Nachyliłam się bliżej, przytrzymując lampę nad szufladą. *B – do ćwiczeń*. Bayan. Używał odłamka Numeena w swoich konstrukcjach ćwiczebnych.

To lepsze niż gdyby znajdował się w jednym z konstruktywów ojca, ale niewiele. Zatem odłamek był w pokoju Bayana, a on, jeśli oceniać po starannie prowadzonych zapiskach, zorientowałby się, gdybym go zabrała. Dostrzegłby to, powiadomiłby ojca, a później musiałabym się jakoś wytłumaczyć. Kilka lat wcześniej z czystej złośliwości zakradłam się do jego pokoju i zauważyłam każdą rzecz, którą przesunęłam czy trącałam. Teraz ryglował nawet okiennice. Sprawdziłam. Jeśli ojciec miał klucz do jego komnaty, nie wiedziałam, który to.

Numeen mógł jeszcze długo się nie zorientować, że jego odłamek jest w użyciu. Później jednak zacznie odczuwać to porankami i późnymi wieczorami; osłabną mu kończyny, nienaturalne znużenie zalegnie na ramionach niczym mo-

kry koc. Wyczerpanie stanie się jego wiernym towarzyszem. W końcu umrze, trochę zbyt wcześnie i trochę zbyt młodo.

Konstrukty jednak zapewniały nam wszystkim bezpieczeństwo. Były równie liczne jak armia. Ojciec zawsze powtarzał, że pewnego dnia Alanga powrócą, a wtedy spróbują odzyskać cesarstwo. Wszyscy Alanga dysponowali mocami, ale ich władcy byli silniejsi od większości pozostałych. Gdy osoba rządząca jedną wyspą walczyła z jakimś swoim odpowiednikiem, zderzenie ich magii zabijało wielu bezradnych świadków. Powstawały ogromne ściany wody, huragany równające miasta z ziemią. Największy spośród nich, Dione, potrafił zatopić miasto, oszczędzając przy tym wszystkie muchy, ale większość Alanga nie była zdolna do takiego poziomu kontroli nad wydarzeniami.

Co zwykli śmiertelnicy mogli zrobić w obliczu takiej potęgi?

Podniosłam kolejny odłamek i obróciłam go w palcach, zauważając liczby i litery identyfikacyjne wyryte na jego powierzchni. Moi przodkowie znaleźli słaby punkt, sposób na zabijanie Alanga, którym ojciec jeszcze się ze mną nie podzielił. Czy naprawdę zależało mu na dobrostanie cesarstwa? Nie byłam tego pewna.

„Potrzebujemy cesarza, który się o nas troszczy”. Ja się troszczyłam. Nie mogłam jednak zabrać odłamka Numeena tak, bym nie została na tym przyłapana.

Odłożyłam fragment kości i zamknęłam szufladkę, czując się, jakbym próbowała ukryć wstyd w sercu.

Lampa zakołysała mi się w dłoni, gdy się obróciłam. Została mi do sprawdzenia jeszcze spora część pomieszczenia i być może znajdę coś oprócz odłamków i katalogów. Przeszłam do innej kolumny i zerknęłam do paru szuflad. Wyłącznie kości.

W przeciwległym krańcu komnaty na ścianie nie umieszczono szuflad. Przycisnęłam dłoń do gładkiej gipsowej powierzchni, zastanawiając się, co jest po drugiej stronie. Moją

uwagę zwrócił ciemny kształt kolejnych drzwi wciśniętych w róg. Pospieszyłam do nich, czując, jak z każdym krokiem narasta moja ekscytacja.

Mosiężna klamka była chłodna w dotyku. Spróbowałam ją obrócić, zanim dostrzegłam poniżej dziurkę od klucza. Klamka zagrzechotała.

Zamknięte. Oczywiście.

Z frustracją odsunęłam się od drzwi, a później chwyciłam klucz spoczywający w mojej szarfie. Wsunął się gładko do zamka, ale zapadki nie chciały się przekręcić. Spróbowałam pchnąć drzwi, a później pociągnąć. Po kręciłam kluczem w zamku, licząc na to, że jest odpowiedni, choć w głębi serca wiedziałam, że nie. Byłoby to nietypowe dla ojca.

Po prostu nie potrafił mi niczego ułatwić, nawet raz. Wyszarpnęłam klucz z zamka. Mój oddech wydawał się odbijać echem od szafek i ścian.

Drzwi. Tak bardzo skupiłam się na zamku, że nie przyjrzałam się im. Coś wydawało się chwytać mnie za serce, ścisnęło je tak mocno, że brakowało mi tchu. Na drzwiach umieszczono dwa panele z brązu. W ich dolnych częściach widniały płaskorzeźby jałowców chmurowych zakorzeniających się w glebie i wijących ku górze tak, że górną część wypełniały gałęzie.

Ale to nie urok tych rytów mnie zaskoczył, choć drzwi stały się dzięki nim piękne. Od pięciu lat, odkąd wyszłam z choroby, na pewno ich nie widziałam. Znałam je jednak w podobny sposób, jak znałam kształt swoich zębów pod językiem. Uchwyciłam się tego wrażenia, zapachu, obrazu tych drzwi oświetlonych wieloma lampami. Wymykał mi się, nigdy na tyle namacalny, bym mogła się na nim w pełni skupić.

Byłam tu już kiedyś.



9

JOVIS

MAŁA WYSPA NA WSCHÓD OD JELENIEJ GEOWY

Jeśli można powiedzieć cokolwiek o Ioph Carn, to na pewno to, że byli wytrwali. Podniosłem już żagle i sprawdziłem olinowanie, gdy Philine i jej ludzie zbiegli drogą prowadzącą na przystań. Wydawało mi się, że Philine zawołała: „Stój!”.

Szkoda tchu. Czy zdarza się, że jakkolwiek ścigany zatrzymuje się na takie wołanie? Dopiero co mnie pobiła. Czego się spodziewała – że zawrócę i jej podziękuję? Nie. Zrobiłem to, co robią wszyscy, którzy otrzymali takie polecenie: uciekałem szybciej.

Mephi świergotał, gdy biegałem z jednego krańca łodzi na drugi, starając się napełniać żagle wiatrem i celować dziobem

w odpowiednią stronę. Tutejszy port był niewielki, a we wlocie ledwo zmieściłaby się cesarska karawela. Nie groziło mi, że otrę się burtami o falochrony, ale na pewno nie dysponowałem taką przestrzenią, jak na Jeleniej Głowie.

Mephi usiadł u moich stóp, gdy przeszedłem do rumpla i wskazałem mu Ioph Carn biegnących ku nam po pomoście.

– To nie są dobrzy ludzie – oznajmiłem.

Przekrzywił głowę na bok, wbijając we mnie wzrok. I znowu to robiłem. Rozmawiałem ze zwierzakiem. Mogłem składać to na karb nerwów. Zawsze gadałem za dużo i za często, nie licząc przypadków, gdy znajdowałem się w domu lub wypływałem na Bezkresne Morze. W innych miejscach wiecznie byłem niespokojny. Emahla nigdy nie traktowała mnie poważnie, dopóki nie zobaczyła mnie milczącego.

Philine nie skierowała się do żadnego statku czy łodzi, którymi przyплыnęli. Pogoniła swoich sługusów do szalupy, odcumowała ją i kazała im wiosłować.

Mieli ramiona szerokie i żyłaste jak liny napuchnięte od słonej wody. Zerknąłem na swoje szczupłe kończyny, a później na żagle, które wzdęły się, ale nie ciągnęły mnie zbyt szybko. Złapię lepszy wiatr dopiero wtedy, gdy opuszczę przystań. Wciąż miałem garstkę bystrokamienia. Wciąż mogłem ich prześcignąć.

– Nie wchodzi mi pod nogi – rzekłem do Mephiego, a później pokręciłem głową. Znowu to zrobiłem. Och, jakie to miało znaczenie, że od gadania czułem się lepiej? Bo tak było. Zyskiwałem dzięki temu wrażenie kontroli nad sytuacją.

Uniosłem klapę ładowni, podważyłem luźną deskę i próbowałem namacać bystrokamień.

Czułem jedynie gładkie deski. Zalało mnie oszołomienie, do gardła podeszła mi żółć. Bystrokamień zniknął. Przesunąłem dłonią po dnie ładowni. Może w nocy fala uderzyła

w łódź i kamień się przesunął, przejechał w róg? Spróbowałem trzeci raz. Miałem wrażenie, że głowę wypełnia mi wata.

Nie mógł tak po prostu zniknąć.

Coś zimnego poklepało mnie w drugą rękę. Uniosłem się i ujrzałem Mephiego, który patrzył na mnie i zaciskał łapki niczym zatroskana ciotka. Gdy popatrzyłem nad jego głową, dostrzegłem zbliżających się Ioph Carn.

Chciałbym móc kontrolować wiatr albo morze. Na pokładzie miałem tylko włócznię, której czasami używałem do polowania na ryby. Mimo to chwyciłem ją, obróciłem łódź w stronę wlotu do przystani i stanąłem na bakburcie z bronią. Czułem ból w posiniaczonych żebrach, gdy oddychałem, czekając.

Philine miała ponury wyraz twarzy i trzymała pałkę pod ręką. Nie pozwoli mi się wymknąć po raz drugi.

Serce dudniło mi, choć w spokojniejszym rytmie niż według mnie zasługiwała sytuacja. Dłonie pokryły mi się potem, kiedy szalupa podплыnęła bliżej. Widziałem żyły na ramionach wiosłujących Ioph Carn i ścięgną napinające się na dłoni Philine, gdy mocniej ścisnęła pałkę.

Szalupa uderzyła w moją łódź i w tym samym momencie Philine jedną ręką chwyciła za moją burtę, drugą zaś za włócznię, kiedy próbowałem ją odepchnąć.

Wykorzystała drzewce, żeby się podciągnąć, sprawiając, że niemal wypadłem za burtę. Z trudem wyprostowałem się akurat w samą porę, żeby wbiła nasadę pałki w moje posiniaczone już zębra.

Ból pozbawił mnie tchu. Z sykiem zassałem powietrze przez zęby, starając się skupić na czymś innym, na czymkolwiek. Na włóczni. Wciąż ją miałem. Pchnąłem, chcąc pozbawić kobietę równowagi, strącić ją za burtę.

Wyglądała jedynie na zirytowaną.

Musiałem pozbyć się jej z mojej łodzi. Ogarnęła mnie panika, jakbym tonął. Nie mogłem płynąć do Kaphry, nie

teraz. Byłbym gotów iść na układ z demonem, uściskałbym dłoń największemu spośród Alanga, żeby tylko posłać Philine do wody.

Uśmiechnęła się, zupełnie jakby desperacja, która wylewała się ze mnie wraz z każdym oddechem, była perfumami. Wolną dłonią wyciągnęła ostrze zza pasa i cofnęła ramię do rzutu. Jeśli oceniać po jej spojrzeniu, celowała w moje oko.

Kulka brązowej sierści przemknęła obok moich stóp i skoczyła na kobietę. Oblicze Philine natychmiast zmieniło wyraz. Zaciśnęła szczękę.

– Cholera! – rzuciła. Upuściła nóż, który wpadł do morza.

Mephi złapał zębami jej kostkę, a w gardle mu zabulgotało. Próbowала go strącić. Przypomniałem sobie, jak patroszył rybę, którą mu dałem. Owszem, ukąszenie było bolesne, ale nie powstrzyma jej na długo. Ta przeklęta kobieta przewyższała mnie siłą i wciąż zaciskała dłonie na włóczni.

Wtedy coś się we mnie zmieniło. Miałem wrażenie, jakby jakiś mechanizm się odblokował, jakby przesunęły się zapadki, a później rozległo się subtelne stuknięcie. Czułem, że się trzęsę, że w uszach rozbrzmiewa mi cichy ryk.

Philine odkopnęła Mephię na bok. Znowu odetchnąłem i ból opuścił moje żebra. Powietrze zdawało się wpływać mi do płuc, a później wlewać się w kończyny, niosąc nową energię. Łagodnie drzenie mocy poczułem najpierw w kościach. Później w nogach – teraz równie solidnych i silnych jak słupy narożne domu. Płynęła w górę, w moje plecy i ręce, a chwilę później już nie zmagąłem się z Philine. Wciąż znajdowała się przede mną, ale to było jak siłowanie się z dzieckiem. Na próbę uniosłem włócznię i stopy kobiety niemal oderwały się od pokładu.

Obserwowałem, jak na jej twarz wypływa świadomość tego, co się dzieje. Czy sam tak wyglądałem, gdy nie mogłem odnaleźć bystrokamienia? A później, zanim zdążyłem sobie do przemyśleć, cisnąłem ją wraz z włócznią do wody – tuż

przed falochrony. Poszło mi to tak łatwo, jakbym wyrzucał rybę z łodzi do morza.

Równie szybko siła mnie opuściła. Osunąłem się na pokład, czując w gardle chrapliwy oddech. Ślizgałem się wzrokiem po żaglach, gdy opuszczaliśmy przystań i wypływaliśmy na Bezkresne Morze.

Podpełzł do mnie Mephi. Oparł mi obie łapki na kolanie i popatrzył na mnie z poważnym wyrazem wąsatego pyszczka. Sierść na piersi plamiła mu krew.

– Niedobre – powiedział piskliwym, gardłowym głosem. Poklepał mnie po nodze. – Nie.

Mogłem znieść baty z rąk Ioph Carn. Mogłem znieść pościg w przystani i utratę resztki bystrokamienia – najwyraźniej to również nie leżało poza moimi możliwościami. Ale coś takiego?

Mój mózg z miejsca się poddał.



Obudziły mnie odgłosy fal uderzających o burtę. Barwy i szczegóły wlewały mi się stopniowo w pole widzenia niczym farba nasączająca papier. Najpierw słońce stojące wysoko na niebie i świecące jasno. Później wiatr szarpiący żaglami. Zmrużyłem powieki.

Mephi stał na dziobie, ustawiony wąsatym pyszczkiem do wiatru, ze zjeżoną sierścią. Gdy tylko usłyszał, że się ruszam, podbiegł do mnie i zaczął wiercać, a później przecesał mi łapkami włosy, jakby szukał w nich posiłku.

Odpędziłem go gestem i usiadłem. Całe ciało miałem sztywne i obolałe, zupełnie jakbym został przeturlany i spoiniewierany przez fale, a później brutalnie wyrzucony na brzeg. Tak to było po zebraniu ciężów – najpierw robiło się gorzej, zanim mogło być znowu lepiej.

Ioph Carn.

Poderwałem się gwałtownie na nogi i ból przeszył mi ciało, jakbym dostał nożem. Wyspa wciąż była widoczna, choć szybko stawała się coraz mniejsza. Nie dostrzegałem żadnych ścigających mnie łodzi – jeszcze nie. Zajmie im chwilę, zanim wyłowią przemoczoną Philine, a później przygotują kóź. Nie będzie tak szybka jak moja, ale nie miałem pewności, ile cenego bystrokamienia zamierzali poświęcić, żeby nas schwytać.

Podmuchy mierzwiły mi włosy wpadające do oczu. Odgarnąłem je za uszy, a później dokonałem szybkiego przeglądu, sprawdzając olinowanie i żagle. Znów spojrzałem na mapę, żeby się upewnić. Płynęliśmy w odpowiednim kierunku i mieliśmy dobry wiatr, więc nie zostawało mi wiele poza siedzeniem i czekaniem. W Akademii Nawigatorów zawsze lubiano powtarzać, że cierpliwość jest pierwszą rzeczą, której uczą studentów, choć w moim przypadku pierwsza lekcja wyglądała inaczej. Moi rodzice wiedzieli, z czym się tam zetknę. Próbowali mi to powiedzieć, gdy pakowałem bagaże przed wyjazdem na Cesarską.

– Nie zaakceptują cię – rzekł łagodnym głosem ojciec. – Nie będą postrzegać cię jako jednego ze swoich.

– Wiem – odparłem, wywracając oczyma, gdy ściągałem książki z półek. – Spytają mnie, czy rozmawiałem z pradawnymi albo czy po poyersku moje imię znaczy „śnieżna góra”.

Matka wcisnęła się pomiędzy mnie a moje torby i rzuciła mi smutne spojrzenie.

– Próbowemy powiedzieć ci coś ważnego! Anau jest mała, wszyscy nas tu znają. Na Cesarskiej będziesz kimś z zewnątrz. Będą sądzili, że cię znają, a to coś innego.

Westchnąłem. Byłem młodzikiem uważającym, że wiem o życiu więcej niż moi rodzice.

– Jestem w połowie Poyerczykiem i w połowie Cesaryjczykiem. Czy o tym chcieliście mi przypomnieć?

Wymienili spojrzenia. Matka wyczerpaną i zdesperowaną miną błagała ojca o wytłumaczenie. Gdybym nie był takim głupcem, by temu zaprzeczać, ujrzałbym, że zupełnie nie zrozumiałem, o co im chodzi.

– Jovisie – odezwał się ojciec. – Chcieliśmy ci przypomnieć, że jesteś jednocześnie Poyerczykiem i Cesaryjczykiem. I nieważne, co usłyszysz, nie staniesz się żadnym z nich w mniejszym stopniu.

Skinąłem głową i podziękowałem im, choć wciąż nie do końca rozumiałem. Przecież zdałem wszystkie testy wstępne, prawda? Ale gdy przybyłem do Akademii, szkoleniowcy pokazali mi moje miejsce jako mieszkańcowi półkrwi, a pierwszą rzeczą, jakiej się dowiedziałem, było to, że życie cesarskiego nawigatora będzie samotne.

Siedziałem przy rumplu i obserwowałem mojego nowego towarzysza. Najwyraźniej bardzo pragnął mnie przekonać, że tym razem samotność mi nie zagrażała. Może zdołałbym uchylić się przed nożem Philine. A może nie. Wychodziło na to, że ja uratowałem go z wody, a on uratował mnie przed paskudną śmiercią.

– Zatem czym jesteś?

Mephi siedział na tylnych łapach, a przednią drapał się w małe ucho. Ściągnął wargi w grymasie, gdy szukał śwędzącego miejsca. Rzeczywiście trochę przypominał wydrę. Miał jednak dłuższe palce, a uszy spiczaste zamiast zaokrąglonych. Jego pyszczek był kanciasty, a nie obły, pewnie dlatego z początku wzięłem go za kota. Miał tułów dłuższy od kociego i mógł z łatwością rozciągnąć się do wysokości mojego kolana.

Przez chwilę patrzyłem, jak się męczy, po czym westchnąłem i wyciągnąłem rękę, żeby pomóc mu się podrapać. Napał głową na moją dłoń. Choć miał szorstką sierść, podszerstek był miękki niczym ptasie pierze. Gdy dotykałem

tych włosków, kojarzyły mi się z wyglądem chmur – nieprzyzwoicie puszyste.

Przejechałem mu kciukiem po głowie i znieruchomiałem. Obok uszu wyczułem dwie kościste wypustki. Zawiazki rogów? Nie przypominałem sobie żadnego morskiego stworzenia posiadającego jednocześnie rogi i futro.

– Pewnie nie powiesz mi, kim i czym jesteś? – zapytałem, czując się bardzo głupio.

Mephi jedynie otworzył pysk i wydał z siebie pełen satysfakcji świergot.

Czy wcześniej wydawało mi się tylko, że słyszę, jak mówi? Byłem wtedy zdenerwowany po biciu, dopiero co uciekłem przed prześladowcami, a później znowu ledwo im umknąłem. Pomimo kłamstw, które opowiadałem innym i które czasami wmawiałem sobie, nie przypuszczałem, żebym to sobie wymyślił.

– Na niektórych wyspach żyją papugi – rzekłem do Mephiego. – Zdarza się, że ludzie trzymają je w domach, i potrafią one mówić jak ludzie.

Przestałem go pieścić. Pacnął kolano, na którym oparłem dłoń, a ja poddałem się i podrapałem go po policzkach.

– Też tak właśnie robisz? Powtarzasz tylko to, co usłyszałeś?

Mephi skulił się, a następnie, zanim zdążyłem uświadomić sobie, co robi, wskoczył mi na kolana i rozłożył się na nich tak, jakby to było jego miejsce. Siedziałem nieruchomo, nie śmiąc oddychać, nieco wystraszony, że to dzikie zwierzątko mnie ugryzie. Gdy malec tego nie zrobił, z wahaniem położyłem dłoń na jego ciepłym barku. Westchnął gderliwie i złożył głowę pomiędzy łapkami.

Na rodzinnej wyspie zanurkowałem kiedyś na dno zatoczki tylko po to, by sprawdzić, ile czasu zdołam tam wytrzymać. Gdy miałem już wrażenie, że zaraz pękną mi płuca

i nawet mój brat klepał w powierzchnię wody z niepokoju, rozprostowałem nogi i skierowałem się ku powierzchni. Teraz czułem się, jakby moje serce właśnie rozkwitało i wzносиło się do jakiegoś pogodniejszego miejsca.

Na horyzoncie przede mną pojawiła się łódź, ciemny kształt na wodzie. Wiatr się wzmógł i mój stateczek ciął wodę, podskakując lekko na falach. Mephi się nie poruszał. Mógłbym w tym momencie zasnąć szybko i bez żadnych trosk. Łódź na horyzoncie nie należała do Ioph Carn i nie była cesarska. Co dziwne, w ogóle nie miała żagli. Cesarstwo wciąż korzystało z galer, ale nawet je dodatkowo w nie wyposażano.

Gdy znaleźliśmy się bliżej, uświadomiłem sobie, że stateczek jednak posiada żagle, tyle że były one równie niebieskie jak niebo.

Natychmiast zerwałem się na nogi, zrzucając Mephiego na deski pokładu. Ojciec Alona widział łódź sunącą na wschód, ale musiała zakotwiczyć w jakimś niewidocznym miejscu albo wróciła na wyspę w związku z jakimiś niedokończonymi sprawami, bo teraz była tutaj, tuż przede mną.

Sprawdziłem stan swoich żagli. Wiozłem jedynie dwie skrzynki melonów, nie miałem pełnej ładowni. Płynąłem najszybciej, jak tylko mogłem. Na drugiej łodzi być może jeszcze mnie nie zauważono albo nie przejęto się mną, bo wyglądało na to, że ją doganiam. Przeszedłem na dziób i wytężyłem wzrok, zanim przypomniałem sobie, że mam lunetę. Czułem się, jakby w głowie roiły mi się osy, brzęczące i dezorientujące.

Uniosłem ławkę na dziobie, wyciągnąłem przyrząd i rozsunąłem go na całą długość. Z powodu kołysania i moich niepewnych rąk dopiero po jakimś czasie ustawiłem odpowiednio lunetę przy oku. Horyzont nabrał ostrości, a wraz z nim stateczek o ciemnym kadłubie. Niebieskie żagle napinał

wiatr, a w pobliżu rufy stała postać – jedyna, jaką dostrzegalem, odziana w ciemną szarość. Pierwszy raz widziałem tę łódź w poranek zniknięcia Emahli. W początkowej panice jedna z moich ciotek zasugerowała, że być może moja żona się utopiła, i choć wiedziałem, że tak nie zrobiła, mimo wszystko udałem się nad ocean. Nad plażą wisiała ciężka mgła, a fale rozbijały się o brzeg, którego nie widziałem. Podszedłem na sam skraj i woda wlewała mi się do butów, ziębiąc stopy.

Coś poruszyło się we mgle. Z początku wydawało mi się, że to woda albo może nawet drgnięcie samych oparów. Ale wtedy dostrzegłem skrawek czegoś niebieskiego. Żagiel. Zamrugałem i zniknął. Nawet piasek pod moimi stopami nie wydawał się w pełni materialny, jak więc mogłem mieć wtedy pewność, że nie był to tylko jakiś straszliwy sen? Już zaczynałem za nią tęsknić, moje serce już wiedziało to, czego nie dopuszczała do siebie głowa.

A później zobaczyłem tę łódź ponownie po pięciu latach. Pięciu straconych latach. Spłacałem własną jednostkę – większą niż rybacka łódź mojego ojca, pozwalającą przemieszczać się z wyspy na wyspę bez ryzyka, że pierwsza burza wyrzuci ją do góry dnem. Ioph Carn byli jedynymi, którzy pozwolili mi spłacać łódź pracą dla nich. Nie miałem wyboru. W rocznicę śmierci brata zatrzymałem się jednak na wyspie na wschód od Cesarskiej i na pamiątkę Onyu spaliłem gałązkę jałowca na urwisku. Było słonecznie i bezchmurnie. Właśnie wtedy ujrzałem ją znowu: łódź o niebieskich żaglach i z samotną postacią przy olinowaniu. Tym razem wiedziałem, że nie jest złudzeniem. Zerwałem kontakt z Ioph Carn i przez kolejne dwa lata uganiałem się za pogłoskami o niebieskich żaglach.

Teraz, gdy stałem na własnej łodzi i w okularze lunety widziałem dziwną jednostkę, wyobrażałem sobie, że wskazuję na jej pokład, chwytam tajemniczą postać, potrząsam

nią. Pytam, co zrobili z Emahlą, dokąd ją zabrali, gdzie przebywała przez te wszystkie lata. Wciąż pamiętałem ciężar jej głowy na moim barku, fałdkę na jej policzku, gdy się uśmiechała, dotyk jej ciepłej, pokrytej odciskami dłoni na mojej. To, jak zawsze wydawała się mnie rozumieć, choć nie zawsze umiałem odnaleźć odpowiednie słowa.

To wszystko jednak zniknęło, nieważne, jak bardzo starałem się ten obraz zatrzymać, rozpuszczał się jak sól w fałdach. Tak zresztą wyglądała najgorsza strona żałoby – nie tylko wiedziałem, że Emahli nie ma, ale też, że nowe wspomnienia i doświadczenia nałożą się na te dawniejsze, wskutek czego dystans pomiędzy nami stanie się jeszcze większy. Dni, które spędziliśmy na pływaniu i łowieniu ryb na plaży, pierwszy raz, gdy ją pocałowałem, sny, które sobie opowiadaliśmy – zostałem jedynym strażnikiem tych wspomnień i na tym polegała najprawdziwsza samotność. Wciąż tyle rzeczy chciałem jej powiedzieć, podzielić się nimi z nią.

Postać obróciła się ku mnie. Przez moment wydawało mi się, że skrzyżowała ze mną wzrok przez dzielący nas dystans. A później przeszła do żagli. Zaraz dostrzegłem kłęb białego dymu. Palony bystrokamień.

Gwałtownie zamknąłem lunetę. Nie miałem bystrokamienia, ale moja łódź została zaprojektowana z myślą o szybkości. Wciąż mogłem mieć szansę, w zależności od tego, jakimi zapasami substancji dysponowała tamta jednostka. Rozejrzałem się po swoim stateczku, nagle uświadamiając sobie, że wbrew mojej wyobraźni, wbrew pewności, że przeskoczę na drugi pokład i wezmę go siłą, nie miałem żadnej broni. Straciłem nawet włócznię do połowu ryb, która wpadła do wody wraz z Philine. Poza tym, jak nieustannie przypominało mi ciało, nie znajdowałem się obecnie w najlepszej formie.

– Coś wymyślimy, prawda? – Gadanie do Mephiego zaczynało wchodzić mi w krew. Szedł tuż za mną, gdy kroczyłem

wzdłuż łodzi. Miałem jeszcze małą pałkę, którą ogłuszałem schwytane ryby. Trochę mi pomoże. No i podczas walki z Philine jakby na nowo nabrałem tchu w płuca. Może uda się to powtórzyć?

Nieważne. Odpowiedzi, których poszukiwałem, znajdowały się na pokładzie tamtej łodzi, i prędeziej pozwoliłbym, żeby Ioph Carn tłukli mnie codziennie, niż przepuściłbym taką okazję. Przeszedłem na dziób z pałką w dłoni i z nadzieją, że siniaki i krew nadają mi wygląd kogoś groźnego, a nie żałosnego. I właśnie tam, na dziobie stateczku, obserwowałem, jak druga łódź zaczyna się oddalać. Miałem wrażenie, że znów stoję na plaży, szukam Emahli i zdaję sobie sprawę, że wszystko, co robiłem, było zupełnie na nic. Zaciśkałem palce na drewnie pałki, aż poczułem pod paznokciami drzazgi.

– Nie potrafię... nie potrafię tego robić. – Nie byłem nawet pewien, co chciałem przez to powiedzieć.

Mephi mruknął coś u moich stóp, a potem stanął na tylnych łapkach, żeby poklepać mnie w kolano. Zanim zdążyłem na niego spojrzeć, przemknął do żagla i wspiał się po nóżkach koksownika, po czym owinął metal ogonem. Wlaź w samo palenisko i jego futerko obsypało się popiołem.

– Nie mam już bystrokamienia – rzekłem. – Cały się spalił.

Ale Mephi nie szukał bystrokamienia. Usiadł w koksowniku, obrócił się do żagla i dmuchnął. Dym wypłynął mu z pyszczka, strzępiasty jak ten powstający przy spalaniu substancji. Wraz z dymem pojawił się najpierw lekki, później silny wiatr. Uderzył w żagiel i wypełnił go, rozlewając się po jego powierzchni jak olej po wodzie. Łódź skoczyła naprzód.

– Mephi! Mephisolou! – Czułem oszołomienie, które pełzło w górę mojej szyi i powodowało zawroty głowy. – Czym ty jesteś? Co ty robisz? – Nie wiedziałem, co mówię. Czy to był sen? A jeśli tak, to kiedy zacząłem śnić? Zanim zdążyłem za-

kwestionować to, co widzę, Mephi znów zaczerpnął powietrza i dmuchnął, a wtedy jeszcze więcej dymu wypełzło mu z pyska i napełniło żagiel wiatrem.

Spojrzałem na horyzont. Łódź wciąż tam była, a my płynęliśmy szybko, sunęliśmy po falach, jakby niosły nas skrzydła. Znów zerknąłem przez lunetę. Może to sobie tylko wyobrażałem, ale wydawało mi się, jakby jeszcze więcej dymu z bystrokamienia wypełniało niebieskie żagle. Ile substancji miał tajemniczy nieznamy? Jednostka nie nosiła żadnych cesarskich symboli, a nawet przemytnicy i złodzieje nie byli w stanie zdobyć wiele bystrokamienia. Mnie udało się to raz, a wcześniej musiałem starannie namieszać w głowach konstruktom cesarstwa i jego żołnierzom. Ale czy miało to znaczenie? Stłukłbym całe cesarstwo moją pałką na ryby, by odzyskać Emahlę. Stałem na dziobie, czując na twarzy wiatr i pył wodny, gotów skoczyć, gdy tylko znajdziemy się wystarczająco blisko.

Łódź o niebieskich żaglach znów zaczęła się oddalać, a wiatr dmący mi w twarz osłabł. Nie. Nie teraz, nie po tylu latach, odkąd ostatni raz ją widziałem, nie gdy znalazłem się tak blisko zdobycia odpowiedzi. Zwolniliśmy, a tamta jednostka przyspieszyła. Kiedy obejrzałem się za siebie, zobaczyłem Mephiego w palenisku, oddychającego płytko i chrapliwie.

– Musimy płynąć dalej! – zawołałem do niego, nie przejmując się tym, że jest zwierzęciem. Może nie rozumiał moich słów, ale musiał zrozumieć mój ton. – Wciąż możemy ich dogonić. – Tak blisko, tak bardzo blisko... Byłem jak głodujący człowiek, któremu tuż przed ustami ktoś trzymał miód.

Mephi znów dmuchnął, żagle się wypełniły, łódka drgnęła i pomknęła naprzód. Kucał w koksowniku, a na wąsach drżały mu drobinki popiołu.

– Niedobre – zaskrzeczał.

Tym razem szok, jaki poczułem, był inny. Nie potrafiłem przejmować się tym stworzeniem, które wyciągnąłem z morza. Nie potrafiłem przejmować się Alonem czy innymi dziećmi, które zostawiliśmy. Emahla wciąż mogła znajdować się na tamtym stateczku. Jakaś część mnie wiedziała, że to nie może być prawda, nie po tylu latach, ale inna część, całkiem spora, dalej stała na plaży o poranku, gdy zniknęła Emahla, i nie traciła nadziei, że wszystko jeszcze może być dobrze. Właśnie ta część żądała, żebym dopadł tę łódź.

Mephi znów drżąc zaczerpnął tchu. Nie unióśł się na łapach, przycupnął w koksowniku jak ranne zwierzę chroniące brzuch. Przypomniało mi się, jak z pełną ufnością westchnął i złożył mi głowę na kolanach. Jak rzucił się na Philine. Poczucie winy i desperacja zmagaly się ze sobą w mojej pierśsi. Ile jeszcze oddechów było trzeba, żebyśmy dopadli tamtą łódź? Zbyt wiele. Padłby wcześniej.

Wiedziałem to, naprawdę wiedziałem, a mimo to pragnąłem spróbować. Zbyt wiele kłamstw sobie wmówiłem i ponakładały się na siebie.

– Przestań – powiedziałem.

Choć polecenie było ciche, Mephi przewrócił się w paleńniku, nie wypuszczając z siebie dymnego tchu. Żagle zwiotczały, fale uderzały o burty.

A łódź, którą tak bardzo pragnąłem doścignąć, zniknęła za horyzontem na Bezkresnym Morzu.



10
LIN

WYSPA CESARSKA

Bruk był śliski od popołudniowego deszczu i odbijało się w nim światło latarni. Znałam już dobrze tę drogę, tak samo jak znałam inne elementy tej procedury. Zaczekać, aż ojciec przestanie mnie wypytywać i zasiądzie do herbaty, włamać się do jego pokoju, zabrać klucz. Nie przestuchiwał mnie co wieczór, więc do tej pory ukradłam tylko dwa kolejne klucze.

Miało to jednak dla mnie znaczenie, bo gdy tylko odbiorę kopię, będę miała o dwa klucze więcej niż Bayan.

Na ulicach wciąż kręciło się trochę ludzi, którzy rozmawiali z sąsiadami śpiewnym akcentem Wyspy Cesarzkiej. Zerkali na mnie, gdy ich mijałam – nigdy nie miałam czasu,

żeby zdjąć haftowaną jedwabną tunikę i przebrać się w coś innego – ale zaraz wracali do plotek. Ojciec rzadko wypuszczał mnie samą z pałacu, więc nikt nie znał mojej twarzy. Dwukrotnie wyjeżdżałam w palankinie i wtedy służba sięgała pod zasłony, by odebrać monety, którymi płaciłam sprzedawcom. Wcześniej nigdy nie dotknęłam pantoflami bruku, nigdy nie czułam na skórze miejskiego powietrza.

Przechodząc obok zamykających się sklepów i zakładów, zaglądałam do nich. Obsługa wycierała stoliki lub chowała rzeczy do szuflad. W warsztacie krawieckim widziałam mnóstwo tkanin, których bele leżały jedna na drugiej, a końcówki spływały luźno niczym wielobarwny wodospad. Obok znajdowała się piekarnia, wokół której powietrze wciąż przenikały para i woń drożdży. Dalej była pijalnia o zacienionych kątach nadal wypełnionych gawędzącymi ludźmi. Kubki stukały o siebie, a z wejścia ulatywał dym. Pachniało jak w miejscu, w którym zawsze panuje wilgoć, a w wytarte deski podłogi wsiąkła niejedna kałuża. Jakaś część mnie chciała tam wejść, zamówić wino, wpasować się między tych ludzi i słuchać. Co wyczytałabym z ich twarzy? W kieszeni szarfy ciążył mi jednak klucz. Gdybym się nie pośpieszyła, ojciec wróciłby do swojego pokoju i odkrył, co zrobiłam.

Zatem dotarłam do warsztatu kowala i wślizgnęłam się do środka. Dzwonek zawieszony na klamce zabrzączał o stare drewno i mężczyzna podniósł wzrok znad wykonywanej pracy. Stęknął jedynie cicho – nie z satysfakcją, nie z niezadowolaniem, a jedynie z... ostrożnością.

– Mam następny klucz – oznajmiłam, sięgając do szarfy. Wyciągnęłam przedmiot.

Kowal zwlekał chwilę, zanim wyciągnął dłoń i pozwolił, bym położyła na niej klucz. Przyjrzał mu się bez słowa, oceniając rozmiary. Obrócił się na taborecie i zabrał do otwierania szuflad.

– Ta sama cena co za ostatni – powiedział. Wiedział już, kim jestem. Mógł domagać się więcej. Byłoby mnie stać.

Wyciągnęłam jednak tylko dwie srebrne monety i położyłam je na ladzie, obserwując, jak kowal odciska klucz w woskowej formie.

Pracował, marszcząc brwi. Przemknął wzrokiem po mojej twarzy, po czym wrócił nim do klucza. Wciąż skupiony, chwilę później spytał:

– Czy znalazłaś mój odłamek?

Kowal starał się nadać tym słowom nonszalanckie brzmienie, ale czekając na moją odpowiedź, oblizywał wargi i napiął ramiona. Ostatnim razem również pytał i teraz bałam się tego bardziej niż wcześniej. To dlatego, że wiedziałam, gdzie znajduje się jego odłamek, ale nie mogłam się do niego dostać w taki sposób, by nie zostać przyłapaną.

– Nie – odparłam. Kłamstwo wyslizgnęło mi się spomiędzy warg, zanim zdążyłam je powstrzymać. Choć odepchnęłam od siebie niepokój, zaległ mi w żołądku. – Mam jeszcze tak wiele pomieszczeń do otwarcia, a nie wiem, który klucz jest do którego. Mam nadzieję, że wkrótce go znajdę. – Mówiłam podobnie lekkim tonem, jakby ta sprawa nie miała znaczenia.

Dla niego miała.

Dla mnie również. Powinna mieć znaczenie. Ojciec zawsze mawiał, że muszę sama o siebie dbać, że nie mogę polegać na innych. A jednak polegałam na Numeenie i on dotrzymywał swojej części umowy. Pot zebrał mu się na skroni, w świetle lampy lśnił na pomarańczowo. Za nim, na półce, spoczywało kilka małych bibelotów: drewniana figurka małpy, bukietek wysuszonych kwiatów, kilka kadzidełek i wyszczerbiony kubek. Zastanawiałam się, co dla niego oznaczały.

– Ile masz dzieci? – Nie powinnam o to pytać, ale tak samo jak w przypadku niedalekiej pijalni, czułam się przyciągana przez świat, którego nie znałam.

Zmarszczki na jego czole się wygładziły.

– Troje. Syna i dwie córki. – Obserwowałam, jak ten potężny mężczyzna, który za pierwszym razem rozmawiał ze mną tak opryskliwie, teraz zmienia się z głazu w piasek. – Wszyscy są za mali, żeby tu pomagać, ale chcą. Zwłaszcza najstarsza. – Roześmiał się z jakiegoś osobistego wspomnienia.

– Musisz ich bardzo kochać. – Czy mój ojciec kiedykolwiek rozmawiał o mnie w taki sposób z innymi? A może tylko narzekał na moją utraconą pamięć i mówił, jak to planuje mnie wypędzić? Staralam się wyobrazić sobie jego chłodną fasadę ocieplającą się na wzmiankę o mnie, ale nie potrafiłam.

Serdeczność Numeena zniknęła, gdy tylko te słowa dostały się z moich ust, i ponieważ usławiłam sobie, jak mogły dla niego zabrzmieć. Jak groźba. Szarpnięciem otworzył inną szufladę i zaczął grzebać w jej głębi.

– Oto klucz, który przyniosłaś mi poprzednio. Ten będzie gotowy za dzień lub dwa. – Położył na ladzie kopię i klucz, który przyniosłam dzisiaj, zgarnął dwie srebrne monety i odwrócił się ode mnie.

To przynajmniej zrozumiałam. Odprawiał mnie.

Zabrałam zatem oba klucze, wcisnęłam je do kieszeni w szarfię i wyszłam. Wilgoć bruku przesączała mi się przez pantofle, gdy biegłam do bramy pałacu. Gips wciskał mi się pod paznokcie, kiedy wspinałam się po murze i schodziłam po drugiej stronie.

Dotarłam do pokoju ojca zdyszana, czując, jak pot spływa mi po plecach. Tym razem Bing Tai jedynie mruknął, gdy zakradłam się do środka i odłożyłam klucz na miejsce. Nie czekałam, by sprawdzić, kiedy wróci ojciec. Poszłam do swojego pokoju.

W porównaniu z komnatami ojca wydawał się ciasny jak komórka, ale tak wołałam. Miałam wrażenie, że ściany mnie

obejmują. Każde miejsce w mojej komnacie wydawało mi się bezpieczne, nie było żadnych nieznanymi narożników. Tylko łóżko, biurko, gruby chodnik, szafa i kanapa. Gdy zamknęłam za sobą drzwi, odetchnęłam, zrzuciłam brudne pantofle i pogrzebałam pod łóżkiem w poszukiwaniu czystej pary. Bayan i ojciec zwykli kłaść się późno, ale zamierzałam ich przeczekać.

Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami i zrobiłam to, co zalecał mi Bayan. Medytowałam.

Nawet jeśli kryjąca się w tym magia działała na Bayana, ze mną tak nie było. Potrafiłam myśleć jedynie o Numeenie, jego zmarszczonych brwiach i śmiechu, gdy mówił o swoich dzieciach. Było to zaskakująco relaksujące połączenie, ale na pewno nie pozwoliło mi niczego odkryć. Skupiłam się na oddechu i czekałam, aż zapadnie naprawdę głęboka nocna cisza.

Wtedy podeszłam do drzwi i wymknęłam się na zewnątrz. Nie miałam ze sobą lampy. Księżyc przeświecał przez okiennice i zapewniał dość światła, więc nie wpadałam na ściany. Poza tym wystarczająco dobrze znałam układ pałacowych korytarzy.

Na wszelki wypadek sprawdziłam pokój Bayana. Ojciec pozostawał niewolnikiem swoich przyzwyczajęń, ale Bayan był niczym niespokojny duch. Nigdy nie miałam pewności, kiedy się pojawi, w jakim będzie nastroju albo czy zamierza wyrządzić mi jakąś psotę. Gdy przy jego drzwiach wstrzymałam oddech i mocno się wsłuchałam, usłyszałam ze środka jego oddech, miarowy niczym fale uderzające o brzeg.

Najpierw poszłam znów do komnaty z odłamkami i wypróbowałam nowy klucz w drzwiach z jałowcem chmurowym. Utknął, zanim zdążyłam wsunąć go do połowy. Nieodpowiedni zamek. Przemieszczałam się zatem po pałacu od drzwi do drzwi, mój oddech odbijał się echem od ścian, moje kroki szemrały po parkiecie niczym włosie miotły. Wzdrygnęłam

się, mijając fresk z Alanga o zaciśniętych dłoniach i zamkniętych oczach. Nocą korytarze wydawały się przestronniejsze, zupełnie jakby mrok je poszerzał.

Klucz wreszcie odnalazł swoje miejsce przy dziesiątej próbie, jaką przeprowadziłam na drzwiach naprzeciwko komnaty, w której ojciec mnie wypytywał i pijał herbatę. Gdy otworzyłam drzwi, ciemność za nimi okazała się nieprzenikniona. Ani odrobina księżycowego blasku nie muskała ścian albo podłogi. Musiałam po omacku odszukać lampę wiszącą przy framudze i potrzebowałam kilku prób, żeby ją zapalić.

Gdy pojawiło się światło, stłumiłam cichy okrzyk zaskoczenia. Sprzyjało mi szczęście. Znalazłam bibliotekę.

W pewien sposób przypominała pokój z odławkami, zamiast szufladek wzdłuż ścian ustawiono jednak regały wypchane książkami. Pokój był też przytulniejszy, drewnianą podłogę zakrywały dywany, pomiędzy regałami umieszczono sofy, a wysoko na ścianach znajdowały się okna szczelnie zakryte okiennicami. Za dnia musiało tu być pięknie, gdy światło wlewało się z góry i lśniło na złotych literach widocznych na niektórych grzbietach. Nocą miałam wrażenie, jakbym wkraczała na ukrytą polanę.

Postawiłam lampę na bocznym stoliku i zaczęłam przeglądać książki. Sporo z nich poświęcono historii lub filozofii, ale przejechałam dłonią po grzbiecie z nieznanym pismem i wyciągnęłam tom z półki. Okazał się na tyle szeroki, że zajmował całą głębokość regału. Przekartkowałam stronicę.

W środku zapisano takie same symbole jak te, które ojciec rył na odławkach kości. Poniżej nich dostrzegłam krótkie wyjaśnienia schludnym, drobnym pismem – nie należącym do ojca, tylko do jednego z jego przodków.

Większość stanowiła proste rozkazy – śledź, ogłoś alarm, atakuj – ale im dłużej czytałam, tym większej złożoności nabierały. Niektóre polecenia można było połączyć na tym sa-

mym odłamku z innymi, żeby utworzyć odmienną komendę. Atak mógł pozostać atakiem, ale bez zabijania. Widziałam też znaczniki identyfikacyjne. Znalazłam taki, który stosowano na ubraniach służby, wraz z uwagą, że podczas nanoszenia znacznika odłamek należy położyć na ubraniu, które ma identyfikować.

Wyciągnęłam kilka kolejnych tomów z symbolami na grzbietach. Niektóre z nich miały znacznie bardziej wyspecjalizowaną naturę – na przykład jedną z książek poświęcono w całości kwestii formułowania rozkazów dla konstruktorów szpiegowskich. Kolejną dla biurokratycznych. Jeszcze inna mówiła o poleceniach ataku – symbolami przedstawiono opis każdego i kiedy powinno się go wykorzystywać.

Wirowało mi w głowie, a za oczyma zaczynałam czuć ból. Nie chodziło o słabe oświetlenie. Nauka tych symboli oraz ich zastosowania wydawała mi się poznawaniem zupełnie nowego języka. W praktyce był to właśnie nowy język wraz z symbolami oraz systemem ich organizacji.

Może Bayan wcale nie był głupi. Może miał po prostu zbyt wiele do nauki.

Przeglądałam zawartość półek, próbując zdecydować, czy uszłoby mi na sucho, gdybym zabrała którąś z książek, choćby na jeden dzień. Oczywiście nic nazbyt dużego. Zresztą Bayan wykroczył już poza początkowe umiejętności. Nie zauważyłby, podobnie zresztą jak ojciec, gdybym wypożyczyła sobie tom z podstawowymi rozkazami.

Wspięłam się na jedną z drabin przymocowanych do regałów i zabrałam za poszukiwanie, sunąc lampą wzdłuż tytułów.

Sprawiało mi to większą satysfakcję niż jakakolwiek medytacja. Jedyne odgłosy rozbrzmiewające w tym pokoju pochodziły ode mnie – szmer stóp na drewnie, oddech, wyraźny szelest przewracanych stron, skrzypienie starych opraw.

W bibliotece pachniało papierem i do tego delikatną wonią spalanego oleju. Trzymana przeze mnie lampa została wykonana w skomplikowany sposób. Płomień zasłonięto szkłem, żeby nie dopuścić do niepożądanego kontaktu z kartkami.

Na trzecim szczeblu drabiny, w pobliżu tylnej części komnaty, znalazłam to, czego szukałam.

Tego typu książkę można by dać dziecku uczącemu się liter. W środku namalowano duże symbole, a zapisane wyjaśnienia były związane i uzupełnione ilustracjami. Dzięki tym informacjom nie stworzę żadnych konstruktów umożliwiających obalenie cesarstwa, ale nawet najwyższe drzewo wyrasta z maleńkiego ziarenka. Wsunęłam tom pod pachę.

Wtedy poczułam w głębi siebie coś dziwnego – wrażenie, że już kiedyś tu byłam. Nie tylko w tej bibliotece, lecz tu, na trzecim szczeblu tej drabiny, w tej części pomieszczenia. Nie. Na czwartym szczeblu. Weszłam odrobinę wyżej i, nie wiedząc konkretnie dlaczego, wsunęłam dłoń w przestrzeń nad książkami. Sięgnęłam za widoczne tomy.

Powinnam być zaskoczona, gdy moje palce zacisnęły się na innej książce. Powinnam uznać, że ktoś ułożył tu zbyt wiele woluminów i jeden spadł na tył. A jednak wiedziałam, że ktoś umieścił go tu celowo, żeby go ukryć.

Nie było mi łatwo z lampą i wcześniejszym tomem pod pachą, ale zdołałam chwycić mocniej znalezisko i je wyciągnąć. Była to mała książeczka w zielonej, pozbawionej napisów oprawie. Gdy ją otworzyłam, nie pachniała tak staro jak inne, a jej stronicie wciąż były białe, nie pożółkłe. U góry zapisano daty, niżej akapity. Pismo było swobodne i potoczyste. Patrząc na nie, miałam wrażenie, jakbym widziała na ulicy osobę, która w innym życiu mogłaby być moją siostrą. Znałam je w taki sposób, jak znałam kształt swojego nosa. Tak, wyglądało nieco bardziej elegancko, a słowa nie tłoczyły się na krawędzi strony, jak to czasami zdarzało się moim zapi-

skom – zupełnie jakbym nie potrafiła rozplanować, jak zakończyć każdą linijkę. Ale pisałam to ja.

Był to mój dziennik. Zatrzasnęłam go, zanim straciłam równowagę na drabinie. Ten wolumin również musiałam zabrać ze sobą. Zeszłam pośpiesznie, niemal gubiąc zdobycz po drodze. Lampa wisząca mi na ręku zakołysała się, ruchome cienie zatańczyły na podłodze. Zeskoczyłam z ostatniego szczebla, czując ulgę, że znowu jestem na dole.

Z tyłu dobiegł mnie odgłos drapania pazurów o drewno. Obróciłam się gwałtownie, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

Z półki, machając ogonem, obserwował mnie konstrukt szpiegowski.



11

RANAMI

WYSPA NEPHILANU

Ranami siedziała na bambusowym krześle, do którego uprzejmie podprowadzili ją porywacze. Złożyła dłonie na leżącej jej na kolanach książce, którą przeczytała już trzykrotnie. Szkoda, że musiało do tego dojść. Nie chciała tego, wbrew pozorom.

Naprzeciwko niej siedział Gio, przywódca Garstki Bezkostnych, podpierając głowę dłonią. Siwe włosy ścinał blisko skóry, do tej samej długości jak szcecinę na podbródku. Wpatrywał się w nią zdrowym okiem, podczas gdy ona starała się nie patrzeć w drugie, zakryte bielmem.

– Jesteś pewna, że przyjdzie? – spytał.

– Przyjdzie – zapewniła Ranami. A przynajmniej taką miała nadzieję. Znów pokłóciła się z Phalue. Wyglądało na to, że ostatnio często im się to zdarzało. Pierwsze tygodnie ich zalotów spowijała złota mgiełka, wszystko wydawało się jaśniejsze i lepsze. Później jednak Phalue mówiła albo robiła coś, co przypominało Ranami o skali dzielących je różnic. Phalue mogła być uwielbiana dzięki wywodzącej się z gminu matce, ale mieszkała w pałacu. Jadła, gdy była głodna, spała, gdy była zmęczona, i nosiła proste stroje nie dlatego, że nic innego nie miała, tylko dlatego, że gardziła jedwabiami. Dysponowała bogactwem wyborów.

W przeciwieństwie do Ranami.

– Pokłóciłyśmy się – przyznała. – Ale ona zawsze wraca. – Temperament Phalue często sprawiał, że opuszczała dom Ranami w huraganie ciętych słów i zatrzas kiwanych drzwi. Ranami uwielbiała jej żarliwość, choć przez nią Phalue czasami wydawała się nieco niemądra. Bowiem zawsze wracała, czasami już po kilku minutach, ze słodkimi przeprosinami i pragnieniem, by zacząć od nowa.

Zatem gdy Ranami kontaktowała się z buntownikami, by zaplanować to fałszywe porwanie, była pewna, że Phalue przyjdzie do ruin Alanga, wpadnie tam jak tajfun jeszcze tej samej nocy. A jednak wszyscy musieli tu spać i poranna mgła pozostawiła kropelki rosy na ich rzęsach.

– Może to jest ten raz, kiedy nie wróci – uznał Gio. Po drapał się po szcecinie, a później położył dłonie na mieczu, który trzymał na kolanach. – Phalue zawsze porzucała kochanki jak pechowy rybak odrzuca zbyt małe ryby.

Ranami wiedziała, że nie jest małą rybą, przynajmniej nie dla Phalue. Wiedziała o tym równie dobrze jak o tym, co kryje się we wszystkich bocznych zaułkach miasta.

– To już trzy lata – powiedziała. – Jaki rybak trzyma tak długo rybę, której nie chce sobie zostawić?

Gio wzruszył ramionami, ustępując.

– Możliwe. Ale nie ma jej tu.

– Niech twoi ludzie utrzymają gotowość – rzekła Ranami. – Gdy przyjdzie, może rozwalić parę łbów w drodze do środka.

Nie było to idealne rozwiązanie, ale każda inna taktyka, której próbowała, była puszczana mimo uszu. Jak inaczej mogła skłonić Phalue, by posłuchała? Wyspa była podzielona, jej mieszkańcy mieli sprzeczne cele. Taką ranę mógł uleczyć jedynie gubernator. Ranami nie mogłaby tak po prostu dyktować Phalue wszelkich reform, które należy wdrożyć, ona sama musiała zrozumieć stojące za nimi rozumowanie.

Było to niełatwe zadanie, pomyślała ze smutkiem Ranami. Gdy odrzucała awanse Phalue, nie prosiła jej, żeby się zmieniła. Phalue sama to zrobiła bez żadnej pomocy Ranami. Podobnie jak wiele innych dzieci ulicy, Ranami od dawna z dala podziwiała gubernatorską córkę, śniła o tym, żeby zasłużyć sobie na jej łaski, żeby wygrzebać się z rynsztoka i trafić do pałacu.

Ale tak się składało, że sny miały sens wyłącznie wtedy, gdy się je śniło.

Coś zaszeleściło na zewnątrz. Ranami się wyprostowała.

– Myślę, że to...

Tyle zdążyła powiedzieć, zanim usłyszała z zewnątrz okrzyk, łupnięcie, zgrzyt stali o stal. Popatrzyła na Gio, który skinął głową.

Phalue przynajmniej wiedziała, jak zrobić wejście. Głupia, lekkomyślna Phalue, którą Ranami kochała wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Ranami zerwała się z bambusowego krzesła i pobiegła do wyjścia. Ruiny były porośnięte mchem i pnączami, ale ich główne ściany wciąż stały. W okresie swojej świetności musiały stanowić wspaniałą widok. Na ziemi zalegały odłamki gipsowych płaskorzeźb. Gdy tylko dotarła do zewnętrznych drzwi, ujrzała Phalue. Serce podeszło jej do

gardła, a żołądek się ścisnął, zupełnie jakby właśnie zeska-kiwała z urwiska do Bezkresnego Morza. Phalue stała nad nieprzytomnym buntownikiem ze wzburzonym wyrazem twarzy i szczękami tak zaciśniętymi, że, jak pomyślała Ranami, na pewno musiały ją boleć zęby. Jej obliczu brakowało łagodnego piękna, delikatnie wygiętych brwi czy pulchnych warg. Jej policzki wyglądały jak wyciosane z kolczastego koralu, nos zdawał się ostry, niewygladzony. Czarne, grube brwi odznaczały się na czole niczym szramy. Jej piękno było pięknem rybołówów, węży morskich albo fali uderzającej o skały.

Dziwne, że Ranami zdołała w ogóle odrzucić jej awanse.

– Phalue! – zawołała.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, Ranami przypomniała sobie, że przecież się pokłócili.

– Jestem bezpieczna – powiedziała. – Nikt mnie nie skrzywdził.

Phalue najwyraźniej nie pamiętała ich kłótni, ponieważ schowała miecz do pochwy jednym płynnym ruchem, podeszła dwa kroki bliżej i zagrzebała dłonie we włosach Ranami. Ich czoła zetknęły się i Ranami poczuła, jak palce Phalue drżą.

– Bałam się – wykrztusiła Phalue. – Myślałam... Powin-
nam była się domyślić, że ktoś zechce cię skrzywdzić. Czego
chcą? Pieniędzy?

Phalue ją pocałowała, a w miękkości warg kochanki Ra-
nami zapomniała, gdzie jest.

– To nieistotne – rzekła Phalue, gdy oderwały się od sie-
bie. – Możemy już iść. Strażnicy są nieprzytomni.

Ranami wyjrzała zza jej pleców.

– Chyba ich nie skrzywdziłaś?

Phalue popatrzyła na nią dziwnie.

– Och, gdy się ockną, będą czuli się skrzywdzeni, ale ja-
kie to ma znaczenie? Nigdy dotąd nikogo nie zabiłam. Nie

zamierzam zaczynać teraz. – Roześmiała się drżąco. – Potrafisz sobie wyobrazić, co powiedziałby mój ojciec? Zabijanie nie wchodzi w zakres kompetencji gubernatorów czy coś w tym stylu. – Przesunęła wzrok nad skroń Ranami i zeszywniała.

Ranami obróciła się i ujrzała Gio.

Jasne. Powód, dla którego się tu znalazła.

– Phalue – odezwała się, dotykając jej dłoni, zanim ta zdążyła sięgnąć do miecza. Zbyt dobrze ją знаła. – Chciałabym, żebyś poznała Gio. Ma ci do powiedzenia parę rzeczy.

Phalue znów przesunęła wzrok na nią.

– Czy był przetrzymywany tutaj wraz z tobą?

Właśnie tej chwili się obawiała, właśnie dlatego nie tra ciła nadziei, że Phalue jednak nie przyjdzie.

– Nie do końca – odparła. – Przyszłam tu z własnej woli.

– Co...? – Phalue wyglądała na bardziej zaskoczoną niż rozczłuszczoną. Później przyjrzała się bliżej Gio, przebiegła wzrokiem po jego krótko przystrzyżonych włosach, uszkodzonym oku, mieczu u biodra. Spojrzała z niedowierzaniem na Ranami, a potem znowu na mężczyznę. – Ranami, przecież to przywódca Bezkostnych. Mój ojciec chce go zabić. Cesarz chce go zabić. Wraz ze swoimi ludźmi stwarza niezliczone problemy dla cesarstwa. Wiedziałaś, że obalili gubernatora na Khalute? To mała wyspa, ale wcześniej czy później cesarz wyśle tam żołnierzy i konstrukty.

– Wiem – powiedziała Ranami, unosząc dłonie i próbując uśmierzyć gniew Phalue. – Niektórzy z buntowników są tu z bardzo konkretnego powodu, ale dowiedziałam się o ich obecności i skontaktowałam się z nimi. – Wymagało to sporo pracy. Nie słynęli z przyjazności czy otwarcia na obcych. Ranami przeczytała jednak *Traktaty o równości podatkowej* Caleena i cytaty z tej książki najwyraźniej zrobiły na Bezkostnych wystarczające wrażenie, by zgodzili się na kontakt.

Zorganizowanie tego fałszywego porwania wymagało jeszcze dłuższego przekonywania. Z początku liczyli na to, że Ranami wystąpi przeciwko Phalue i zacznie z nimi współpracować na rzecz podkopania władzy gubernatora. Ona jednak odmówiła. Musiał istnieć inny sposób, w ramach którego Phalue zostanie gubernatorką.

– Za jego głowę jest wyznaczona nagroda. – Phalue zmrużyła oczy. – Powinam to zgłosić.

Kątem oka Ranami dostrzegła, że Gio się wyprostował, a jego dłoń przesunęła się bliżej miecza.

– Phalue – powiedziała łagodnym głosem. – Komu to zgłosisz?

Wyraz twarzy Phalue przeszedł z determinacji, przez dezorientację, do przestachu. Ranami znała jej myśli. Dzielili się ze sobą swoimi światami, swoimi nadziejami i rozczarowaniami. Jediną osobą, której Phalue mogłaby donieść, był jej ojciec, który wykorzystałby pieniądze z nagrody, żeby urządzić kolejne wystawne przyjęcie albo postawić następną niepotrzebną dobudówkę do pałacu. Ściągnęła wargi.

– Mogłabym znaleźć konstrukt szpiegowski, który bym poinformowała. Pieniądze nie są tak istotne, jak bezpieczeństwo cesarstwa.

– Posłuchaj tylko tego, co on ma do powiedzenia. Proszę. – Ranami ujęła dłonie Phalue i przesunęła palcami po pokrywających je odciskach.

– Obie mogłybyśmy zawisnąć jedynie za to, że z nim rozmawiamy – rzekła Phalue, nie spuszczać wzroku z Gio. – Cokolwiek ma do powiedzenia, nie jest to warte twojego życia.

Ranami ścisnęła jej dłonie.

– Pamiętasz, co mi mówiłaś, gdy się kłóciłyśmy? Że nie możesz zmienić tego, jak zostałaś wychowana i masz wrażenie, jakbym gardziła tobą za to, że nie urodziłaś się na ulicy. Wiem, ciężko pracowałaś. Nie proszę cię, żebyś zmieniła swą

przeszłość. Proszę tylko o to, żebyś przemyślała przyszłość i wybory, jakie przed tobą stoją.

– Wybory, które nie stoją przed wszystkimi – wtrącił Gio. Znów się uspokoił, a jego głos nabrał posępnego, oratorskiego zabarwienia. – Nie będę ukrywał: potrzebujemy twojej pomocy. Orzechy caro uprawiane przez tutejszych rolników są w całości wysyłane na sprzedaż do serca cesarstwa, gdzie można za nie uzyskać najwyższe ceny. Sami rolnicy nie mogą pozwolić sobie na ich zakup. Zawarty w tych orzechach olej stanowi skuteczne lekarstwo na kaszel bagienny, a właśnie weszliśmy w kolejną porę deszczową. Dzieci tych ludzi już zaczęły umierać.

Przynajmniej Phalue nie próbowała go natychmiast zabić ani nie odeszła w gniewie, a tylko wzruszyła ramionami i westchnęła.

– Mam środki na własne wydatki. Mogę kupić pewną ilość orzechów caro, żeby przekazać je rolnikom.

Był to uprzejmy gest i Phalue często takowe czyniła. Po części to właśnie dlatego Ranami ją kochała. Ale w ten sposób pomoc otrzyma tylko paru rolników, nie pozwoli to rozwiązać problemu. Phalue nigdy nie czuła tego drapania w głębi gardła albo bólów w ciele po długiej pracy, która nie mogła poprawić niczyjego statusu, nie patrzyła bezradnie na cierpienie bliskich.

Gio popatrzył jej prosto w oczy.

– To nie wystarczy. Chcę, żebyś pomogła nam wykraść część ładunku caro, by można je było przekazać potrzebującym.

Phalue prychnęła.

– Jesteś szalony.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej. Nie jestem piekarzem ani łataczem sieci. Żadne cesarstwo nie trwa wiecznie, a są-

dzę, że nasze już od dawna wydaje się przejrzałe. – Zaczął odliczać na palcach. – Cesarz jest stary, a niewiele osób widziało tę jego córkę, przynajmniej odkąd była dzieckiem. Odizolował się i krąży pogłoski, że eksperymentuje ze zgromadzonymi przez siebie odłamkami kości. Mówi, że musimy wciąż przekazywać odłamki, żeby zasilały konstrukty, ponieważ Alanga mogą pewnego dnia wrócić. Minęły już setki lat. Gdyby nie ruiny i nieliczne artefakty, sam wahałbym się wierzyć, czy w ogóle kiedyś istnieli. Nie wrócą. Obowiązek, który wziął na siebie cesarz, czyli chronienie nas jego magią przed ich magią, zaczyna coraz bardziej wyglądać tak, jakbyśmy zagonili starego psa do strzeżenia pary nienoszonych pantofli. A same przesłanki funkcjonowania cesarstwa? Fundamenty, na których je zbudowano? Już nie istnieją. Tymczasem całość towarów wciąż trafia do serca kraju, gdzie zostają z nich wybrane najlepsze kęski, zanim do nas wrócą ochłapy. Mamy już dość babrania się w ochłapach, Phalue. Chcemy zbudować coś nowego. Pomyśl tylko. Powstrzymanie Festiwalu Trybutu. Sprawiedliwszy podział bogactwa. Rada złożona z przedstawicieli każdej wyspy. Możesz w tym uczestniczyć, jeśli zechcesz. Ludzie pokochaliby cię jeszcze bardziej niż dotąd.

Nie poruszało jej to. Ranami próbowała na niej podobnych przemów, a Phalue powtarzała jedynie argumenty ojca. W cesarstwie każdy ma swoją pracę do wykonania. Ci, którzy ciężko pracują, są nagradzani. Podawała przykłady osób, które wydzwignęły się z ubóstwa. I owszem, niektórym się to udało, podczas gdy reszta żyła ochłapami i nadzieją. To jakby wyjaśniać kałamarnicy olbrzymiej, czym jest drzewo.

– Chcecie pomóc rolnikom? Pomóżcie im wyrabiać normy.

– Nie zawsze mogą to zrobić – odparł Gio.

– Niektórzy wyrabiają – rzekła Phalue. – Jeśli oni mogą, to dlaczego nie reszta?

Ranami zacisnęła zęby.

– Uzależniasz życie dzieci od wyrabiania norm?

Phalue ścisnęła palcami nasadę nosa.

– Wiesz przecież, że nie o to chodzi. – Popatrzyła na Ranami. – Wystraszyłaś mnie niemal na śmierć. Wiesz, jak to jest wejść do domu ukochanej, zobaczyć, że go splądrowano, a ona sama zniknęła? Nie chcę już dalej przechodzić przez to wszystko, przez klótnie, rozstania, a później powroty do ciebie. Musimy znaleźć inny sposób, żeby to działało.

Och, na głębiny Bezkresnego Morza... Czy ona znowu się oświadczała? Tu, przed przywódcą Garstki Bezkostnych i dwoma jej członkami leżącymi bez ducha na ziemi? Byłyby to najmniej romantyczne oświadczenia Phalue ze wszystkich dotychczasowych. Ranami już kilkakrotnie mówiła jej „nie”. To nie tak, że nie chciała jej poślubić. Chciała, i to bardziej niż czegokolwiek. Ale chciała tego w świecie snów, gdzie istniała tylko miłość i one dwie, a nie tutaj, gdzie dwa światy boleśnie ocierały się o siebie. Nie miała ochoty zostać żoną gubernatorki. Nie potrafiłaby mieszkać w pałacu i wieść takiego życia ze świadomością, że wychowała się w rynsztoku. Zawsze bolało ją serce, gdy na ulicy widziała bezdomne dziecko. Nieważne, ile razy by to mówiła, nie wiedziała do końca, jak wyjaśnić Phalue, co tak naprawdę dla niej znaczyła.

– Phalue... – zaczęła, lecz urwała, nie wiedząc, co jeszcze dodać. Czuła tak wiele rzeczy, których nie umiała ująć w słowa. Pewnego dnia Phalue znuży się pytaniem. Pewnego dnia postanowi żyć dalej. Gdyby tylko przestała się oświadczać...

Ale tym razem Phalue nie zamierzała tego robić.

– Chcę, żebyś wprowadziła się do mnie do pałacu. Mięło już dość czasu. Szanuję twoje pragnienia i odwiedzam cię w mieście, ale nie musisz mieszkać w ruderze. I czasami to, czego ja chcę, też powinno się liczyć.

Czy była to jakaś dziwna próba osiągnięcia kompromisu?

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że im pomożesz? – zapytała Ranami.

Phalue pokręciła głową i na chwilę serce podeszło Ranami do gardła. Później jednak gubernatorska córka powoli odetchnęła.

– Rozmawiamy przecież o Garstce Bezkostnych. Uważasz, że to jakaś zabawa? Że możesz ich poprosić, by zostali i pomogli rolnikom, a potem ot tak odejdą? Wiem, że uważasz mnie za naiwną, ale aż tak naiwna nie jestem.

Gio tylko splótł ramiona na piersi i się nie odzywał.

– Wiem, że cię to dręczy – ciągnęła Phalue. – Ale sytuacja wygląda tak nie bez powodu. Rolnicy otrzymują ziemię od mojego ojca i są mu winni lojalność. Tak, moim zdaniem sposób, w jaki wydaje pieniądze, jest głupi, ale to do niego należy prawo, żeby wysyłać orzechy caro na bogatsze wyspy, gdzie może uzyskać za nie wyższe ceny. Wciąż płaci za nie uczciwie rolnikom. Utrzymuje porządek i pokój, a to wymaga funduszy.

Ranami zacisnęła zęby. Znowu te stare argumenty. Mogły tak to ciągnąć godzinami. Skoro nawet przywódca Bezkostnych nie zdołał wpłynąć na Phalue, to na co jeszcze mogła liczyć?

– Nie wiem, jak skłonić cię, byś zrozumiała – powiedziała. Miała wrażenie, że jej oczy stały się gorące. Ku swemu zażenowaniu poczuła łzy na policzkach. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zasypać dzielącą je przepaść. Miała wrażenie, że to już koniec, i nie wiedziała, jak to zniesie.

Phalue ujęła jej dłonie.

– Zadałaś sobie wiele trudu i naraziłaś nas obie na niebezpieczeństwo. Ranami, dla ciebie byłabym gotowa przynieść góry. Z pewnością jest to najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłaś, do tego najbardziej idiotyczna, ale skoro to tyle dla ciebie znaczy, to w porządku. To nie tak, że mój ojciec

będzie tęsknić za odrobiną dodatkowych pieniędzy. Ale tylko ten jeden raz. – Kciukami starła Ranami łzy z policzków, a później pocałowała pozostawione przez nie ślady. – Ich dzieci nie będą już umierać na kaszel bagienny, nie w tej porze deszczowej. A ty... – Phalue skierowała uwagę na Gio. – Wysyłam wiadomość do cesarza, że tu jesteś. Zanim ją otrzyma, skończymy już sprawę i później powinniście zniknąć. Ta wyspa nie dojrzała do waszego buntu. Radzimy sobie.

Gio zapewne przytaknął, ponieważ Phalue objęła Ranami w pasie.

– I proszę. Czy możemy już się nie kłócić? – spytała.

Za jej plecami jeden z ogłuszonych buntowników poruszył się i jęknął, przyciskając dłoń do głowy.

– Dziękuję – rzekła Ranami i nie była pewna, czy mówi do Phalue, czy do Gio.



12

JOVIS

GDZIEŚ NA BEZKRESNYM MORZU

Miałem pecha. Niedługo po tym, jak powiedziałem Mephiemu, żeby przestał dmuchać w żagle, wiatr zupełnie ucichł. Bujaliśmy się na falach, łagodnie jak w dziecięcej kołysce, a słońce rozgrzewało do gorąca deski pokładu pod moimi stopami. Mephi leżał w cieniu dziobu, zwinięty na kocu, który mu rozłożyłem. Co jakiś czas przewracał się z boku na bok, mruczając przez sen. Kiedy kładłem mu dłoń na grzbiecie, uspokajał się.

Przeglądałem mapy nawigacyjne i obserwowałem go, obmacując jednocześnie obolałe zebra. Nie miałem najmniejszego pojęcia, jakim był stworzeniem. Nikt nie znał tak do końca głębin Bezkresnego Morza ani żyjących w nim istot. Wyspy

miały krótki, płytki szelf, który następnie opadał pionowo w otchłań. Wszystkie dryfowały po morzu, więc każda z nich musiała mieć gdzieś dno. Wraz z bratem często przechwalaliśmy się, że zanurkujemy na tyle głęboko, by wymacać, gdzie wyspa na nowo zaczyna się zwęzać. Wszystkie dzieci tak robiły.

Mephi bardzo przypominał z wyglądu kilka zwierząt. Był niemal jak kotek. Niemal jak wydra. Niemal jak małpka dzięki zręcznym łapkom o palcach połączonych błoną. Jak się zmieni, gdy na jego głowie wyrosną rogi? Będzie wyglądał niemal jak antylopa? No i co za stwór potrafił do tego wytwarzać wiatr i mówić?

Potarłem czoło i spróbowałem nadać choć odrobinę porządku rozbieganym myślom. Wiedziałem tyle: zrezygnowałem z okazji, by dowiedzieć się czegoś więcej o zniknięciu Emahli, żeby temu stworzeniu nie stała się krzywda.

Serce ciągnęło mnie w dwóch różnych kierunkach. Chciałem zatroszczyć się o Mephiego. Znowu wymamrotał coś przez sen i poczułem, jak moje czoło się wygładza, choć nie zdawałem sobie sprawy, że je marszczyłem. Nie, to było kłamstwo, które sobie powtarzałem. Już się o niego troszczyłem. Ale Emahla...

Gdy się spotkaliśmy, byliśmy jeszcze dziećmi tak małymi, że mój brat Onyu wciąż był z nami, zanim Festiwal Trybuntu odebrał mu życie. Wykopywałem małże na plaży blisko matki, która podwiązała sobie spódnicę na udach.

Szkoda, że nie pamiętam pierwszych słów, jakie wypowiedziała do mnie Emahla. Szkoda, że nie dysponuję wspaniałą opowieścią, w której ujrzałem ją i oniemiałem albo w której wiedziałem, że jest wyjątkowa. Przyszła razem ze swoim ojcem, który niedaleko od brzegu łowił ryby ze słupa wbitego w dno, i obserwowała mnie jakiś czas. Przygotowałem się na typowe komentarze: „Jesteś stąd?”, „Mówisz po cesaryjsku?”, „Kim jesteś?”. Ale Emahla znalazła tylko patyk i zaczęła kopać wraz ze mną. „Założę się, że znajdę więcej małży niż ty”,

powiedziała. Od tamtej chwili się przyjaźniliśmy. Była dla mnie po prostu dziewczyną z mnóstwem czarnych, gęstych włosów, chudymi kończynami i palcami u dłoni oraz stóp, które wiecznie wydawały się lepkie. Czasami nie mogłem się doczekać, aż ją zobaczę. Czasami nienawidziłem jej z całą pasją, do jakiej zdolne jest tylko dziecko. A po śmierci Onyu stała się moją najlepszą przyjaciółką.

Miałem nadzieję, że wiedziała, że jej szukam.

Coś stuknęło w burtę łodzi. Wyrzałem i dostrzegłem kilka kawałków drewna. Choć były wyblakłe, wyglądały jak połamane deski, a nie jak dryfujące gałęzie. Albo stanowiły szczątki po katastrofie statku, albo przyplływały z Jeleniej Głowy. Znowu zaczęła wypełniać mnie groza, gdy pomyślałem o wszystkich tych, którzy zostali na wyspie, wciągnięci do podwodnego grobu tam, gdzie powinien znajdować się suchy ląd. Otoczyłem palcami prawy nadgarstek i poczułem pod opuszkami szorstkość tkaniny, którą go obwiązałem. Większość ciał nie będzie miała żadnych tatuaży – jeśli w ogóle uda się jakieś znaleźć.

Ponownie skupiłem się na mapach. Z końcem pory suchej wyspy składające się na Małpi Ogon skupiały się bliżej siebie i przemieszczały na północny zachód. Dokonałem kilku szybkich obliczeń, żeby odnaleźć położenie następnej wyspy, po czym poprawiłem nasz kurs.

Wieczorem wiatr wreszcie się zerwał, a Mephi obudził. Zaćwierkał ze swojego miejsca na kocu, ale nie wstawał, więc zacząłem karmić go kawałkami ryby, którą wcześniej złapałem. Gdy jadł, łaskotał mnie wąsami w palce. Oblizwał wargi, błyskając spiczastymi białymi ząbkami, i pokiwał głową. Machinalnie pogłodziłem go po czole.

– Moja matka powiedziałaby ci, żebyś jadł cicho – rzekłem. – Powiedziałaby, że ludzie aż na Cesarskiej słyszą, jak mlaszczesz.

Czekałem, wstrzymując oddech, w nadziei, że znowu się odezwie. Mephi podniósł na mnie wzrok.

– Nie... dobre? – Jego głos skrzypiał jak zardzewiały zawias.

Roześmiałem się. Zatem może jednak był jak papuga.

– Niedobre – potwierdziłem. – Zupełnie niedobre.

Chłodnymi łapkami wziął ode mnie następny kawałek ryby i jadł go wykwintnie, jakby był jakimś gubernatorskim synem.

– Rozumiesz, co mówię? – zapytałem, spoglądając mu w czarne oczy.

Mephi odpowiadał jedynie spojrzeniem, aż poczułem się głupio, że rozmawiam ze zwierzęciem. Gdy się nad tym zastanowiłem, nie mogłem uwierzyć, że wybrałem to coś zamiast łodzi. Zaharowywałem się do otartych palców, okradłem Ioph Carn, ale gdy tylko ten mały stworek wydawał się cierpieć, wszystko to odrzuciłem.

Wciąż miałem czas. Gdybym zatrzymał się na następnej wyspie i sprzedał melony, mógłbym wykorzystać zyski, żeby kupić kolejne towary i znowu upłynnić je z narzutem. Zaoszczędziłbym, żeby nabyć więcej bystrokamienia. Znalazłbym znowu łódź o niebieskich żaglach.

Tej nocy, gdy spałem, Mephi wślizgnął się pod koc, żeby ułożyć się u mego boku. Poczułem, jak wyciąga się przy mnie, a jego serduszko bębni przy moich żebrach. Było to dziwne, skoro całkiem niedawno wypuściłem go do oceanu, polecając, by znalazł swoich pobratymców. Przesunąłem się, mając nadzieję, że nie przygniotę go niechcący we śnie.

– Nie licz na to każdej nocy – mruknąłem. – Teraz ci pozwalalam, bo nie czujesz się dobrze.

Westchnął tylko i złożył mi głowę na ramieniu.

Obudziłem się, czując w uchu chłodny, wąsaty nos.

Dopiero gdy zrzuciłem z siebie koc i odepchnąłem zwierzętko, zauważyłem, że nie czuję już bólu po pobiciu przez

Ioph Carn. Zamarłem. Przeciągnąłem się, oczekując ostrego ukłucia w żebrach. Nic. Wtedy skopałem koc do końca i uniosłem koszulę, by przyjrzeć się siniakom. Och, wciąż tam były. Na próbę nacisnąłem na jeden z nich, na wszelki wypadek. Zabolało. Ale na pewno nie wyglądały tak paskudnie, jak poprzedniego dnia.

Obok mnie rozbrzmiał plusk.

– Mephi! – zawołałem, zanim przypomniałem sobie, że przecież umie pływać. Oddech uwiązał mi w gardle, gdy umysł podsuwał mi wizje wszystkich bestii, jakie widziałem za przemytniczych lat: rekinów, kałamarnic olbrzymich, węży morskich czy wielorybów zębatych. Wszystkie one uznałyby Mephiego za przepyszny kąsek. Zanim jednak zdążyłem wychylić się za burtę, usłyszałem jego świergot.

Płynął równo z łodzią, rozcinając wodę tak, jakby się w niej urodził, i wydawał z siebie ciche odgłosy zadowolenia, gdy nurkował i obracał się na grzbiet.

– Nie, Mephi. Niedobre! – powiedziałem.

Choć wcześniej wydawał się mnie rozumieć, teraz miałem wrażenie, że naprawdę rozmawiam z kotem. Przejechał łapkami po wąsach, po czym znów się zanurzył, głęboko, poza moje pole widzenia. Wstrzymałem oddech, czując, jak w uszach dudni mi puls. Część mnie obawiała się, że coś go poźre. Inna część zastanawiała się, czy może zauważył swoich pobratymców albo uznał, że już dość daleko zawędrowaliśmy razem. Może tak byłoby najlepiej. Nie byłem nawet pewien, czy powinien już jeść ryby, czy też jeszcze dostawać mleko od matki.

Jego głowa pojawiła się znów koło dziobu. W pysku trzymał rybę niemal tak dużą jak on sam.

Z ulgą wysunąłem do niego podbierak, żeby pomóc mu wrócić na pokład. Złożyłem jego przemoknięte ciało na deskach, a on zostawił mi rybę u stóp.

– Nie rób tak więcej – skarciłem go. – Wciąż jesteś za mały. – Jak duży w ogóle urośniesz? Popatrzył na mnie i zaczął wiercić.

Spojrzałem na rybę, a później na niego.

– Możesz ją zjeść. – Może nie zrozumiał moich słów, ale dostatecznie pojął ich znaczenie. Przynajmniej doszedł do siebie.

Tego popołudnia dotarliśmy do następnej wyspy. Zaczekałem łódź i wystawiłem skrzynki z melonami na pokład, ostrożnie zerkając na konstrukt na przystani. Miał jastrzębią głowę na małym ciele o pazurzastych stopach małego niedźwiedzia. Chciałbym móc powiedzieć, że wygląda groteskowo, ale cesarz wykonał dobrą robotę.

Ja jednak wykonywałem lepszą, jeśli trzeba było zatriumfować nad nimi sprytem.

Konstrukty nie były ludźmi, nawet jeśli niektóre z nich miały ludzkie części ciała. Napędzały je odłamki ukryte w ich wnętrzu, a cel wyznaczały im zapisane na nich rozkazy. W zależności jednak od tego, jak ściśle sformułowano te polecenia, można było je omijać. I choć ten konstrukt wykonano z dbałością, był jedynie pracownikiem portowym, a zatem niskopoziomowym. Czyli mniej rozkazów, więcej luk.

A przez luki potrafiłem przepływać równie sprawnie, jak przez szczeliny pomiędzy skałami.

Gdy tylko konstrukt zorientował się, że cumuję łódź, chwiejnym krokiem podszedł do mnie.

– Proszę podać rodzaj towaru – oznajmił głosem brzmiącym jak owady brzęczące wokół lampy.

– Jestem żołnierzem cesarstwa. Odsuń się. – Żałowałem, że nie zostawiłem sobie kurtki, która dodałaby mi wiarygodności, ale już wcześniej i bez niej oszukiwałem te stworzenia.

Konstrukt przekrzywił głowę na bok, przyglądając mi się jak drapieżnik zwierzynie.

– Nie jesteś – rzekł.

– Jestem, a ty masz polecenie podporządkować się ludziom cesarza. – Popatrzyłem na swoje ubranie. – Och, chodzi o brak munduru? – Westchnąłem ciężko. – Obawiam się, że go zgubiłem.

Pochylił głowę i spojrzał na mój podbródek, jakby pod innym kątem mógł dostrzec coś więcej.

– Zgubiłeś go?

– Podczas katastrofy statku.

– Nie ma żadnych doniesień o niedawnych katastrofach cesarskich jednostek.

– Ale wiesz chyba, co się wydarzyło na Jeleniej Głowie? – zapytałem. – Pozwól mi zgłosić to jako pierwszy. Byliśmy tam, żeby zabezpieczać Festiwal Trybutu, ale pochwyciły nas prądy wywołane przez tonącą wyspę. – Najlepiej było w jak największym stopniu przyprawić kłamstwa prawdą. – Zdołałem odpłynąć na bezpieczną odległość, ale musiałem zrzucić z siebie wszystko oprócz bielizny. Ocalałem jako jedyny.

Pióra na szyi stwora nastroszyły się, zanim pokręcił głowę i znów je wygładził.

– Twoja cesarska odznaka...

– Ją również zgubiłem. Ale jestem żołnierzem, a ty musisz słuchać ludzi cesarza. Odsuń się na bok i pozwól mi przejść.

Niemal widziałem zębatki obracające się w jego głowie i starałem się nie pocić. Mephi został na łodzi i na szczęście zachowywał się bezgłośnie. Zetknąłem się już z paroma ulepszonymi konstrukcjami, które otrzymały polecenie, żeby nie słuchać nikogo bez cesarskiej odznaki. To jednak była mała wyspa o niższym priorytecie. Do tego cesarz był tylko jeden. Miałem nadzieję, że trafiłem na starszy, pierwotny model.

Nie naciskał na mnie w kwestii odznaki. Dreptał w miejscu, stukając pazurami o drewno pomostu i kręcąc młynka kciukami.

Nie czekałem na dalsze pytania. Sięgnąłem do łodzi, chwyciłem skrzynki z melonami i minąłem konstrukt. Gdy obejrzałem się za siebie, zobaczyłem, że Mephi truchta za mną.

– Nie powinienes tu być – syknąłem do niego. – Musisz zostać na pokładzie.

I znów wyglądał, jakby opuściła go zdolność rozumienia moich słów. Zamiast zawrócić, skoczył na mnie i tylnymi łapkami starał się zahaczyć o mój pas. Zanim zdążyłem go z siebie strącić, ułożył mi się już na ramionach i owinał długie ciało wokół szyi. Spodziewałem się, że wyda mi się zbyt ciepły, jak szale noszone przez lud mojego ojca, ale futerko dotykające mojej skóry było chłodne jak mgła.

– W porządku – mruknąłem do stworka zawiniętego przy moich uszach. – Tylko nie wchodź mi w drogę ani nie bądź namolny. – Po chwili zastanowienia dodałem: – I nic nie mów. – Byłem tu po to, żeby sprzedać melony, a nie snuć kłamstwa, jakim to niby zwierzęciem jest Mephi.

Musiałem zapytać kilkoro przyjaznych nieznanym drogę, zanim znalazłem targowisko. Było większe niż na poprzedniej wyspie, choć wciąż małe. Nie wciśnięto go w dwie wąskie uliczki, tylko umieszczono na pustym placu w centrum miasteczka.

Dokonałem w głowie pewnych obliczeń, próbując nie myśleć o fortunie kryjącej się w bystrokamieniu, który wyrzuciłem za burtę i który zapewne wciąż zapadał się w głębiny Bezkrzesnego Morza. Gdybym zdołał sprzedać z zyskiem melony, mógłbym kupić odrobinę nielegalnego bystrokamienia. Łódź o niebieskich żaglach była niewielka i nie będzie mierzyć się z przestworem morza. Raczej skakać z wyspy na wyspę, a w pobliżu leżała tylko jedna. Znajdowałem się na Małym Ogonie – rozciągniętym archipelagu. Dalej na wschód leżała Sieć Hirony i stateczek o niebieskich żaglach mógł

się zagubić w tamtejszym skupisku wysepek. Nie zostało mi wiele żywności, ale mogłem łowić ryby z łodzi, przynajmniej tyle, by przeżyć. Poszukiwana jednostka będzie musiała robić sobie przystanki na uzupełnienie zapasów i odpoczynek, więc jeśli nic mnie nie opóźni, wciąż mogłem doścignąć ją na Ogonie, jeszcze przed Siecią.

Najpierw kupiłem kapelusz i nasadziłem go sobie porządnie na głowę, tak żeby słomiane rondo ocieniało mi oczy. Później zacząłem rozglądać się za potencjalnym kupcem.

Gdy postawiłem skrzynki na stoliku jakiegoś rolnika, jedynie popatrzył na mnie ostrożnym wzrokiem.

– Melony z Jeleniej Głowy – powiedziałem. – Wyspy już nie ma, jak niewątpliwie słyszałeś, a wchodzimy w porę deszczową. Miną lata, zanim te melony znów urosną.

Szczupły mężczyzna zerknął na mnie z ukosa, wytarł sobie dłonie o spodnie i wstał.

– Próba zarobku na nieszczęściu innych przynosi pecha – stwierdził, wskazał mi jednak gestem, żebym otworzył skrzynki.

Gdy pozwolił, wziąłem jego łom i uniosłem wieko pierwszego pudła. Rolnik zajrzał do środka, a potem wzruszył ramionami. Och, był równie umiejętnym kłamcą jak ja.

– Też uprawiam je na swojej ziemi – rzekł, ale obydwaj wiedzieliśmy, że nie ma to znaczenia. Pora sucha się skończyła, zatem pewnie dostawał już dobrą cenę za owoce.

– A ja mogę się założyć, że jeśli zaczekasz jeszcze dziesięć dni, dostaniesz za nie więcej. Skoro je uprawiasz, to wiesz, że można je przechowywać cały rok. Czy ktoś na początku pory deszczowej mógłby prosić o cokolwiek więcej? Ludziom w końcu znudzą się zieleńsze owoce o miększej skórce, a wtedy słodki melon przypomni im o cieplejszych, suchszych dniach. Podaż będzie niższa niż w minionych latach. Na Jeleniej Głowie były spore uprawy.

– Są wadliwe – oznajmił, wskazując niemal niedostrzeżalną plamkę na jednym z melonów.

Mephi wydał z siebie cichy pisk protestu. Podniosłem rękę, żeby podrapać go po głowie z nadzieją, że się uciszy.

– To nie zmienia smaku – odparłem.

– Ci, którzy są gotowi płacić wysoką cenę, wolą, by owoce były równie piękne jak ich klejnoty.

I tak to szło, raz on, raz ja, aż obydwaj oznajmiliśmy, że nie zdołamy dojść do porozumienia – a później niechętnie przyznał, że może jednak się dogadany.

Srebrne monety wypełniły moją sakiewkę z rozkosznym brzękiem. Teraz czekało mnie jednak sporo wysiłku, jeśli chciałem znaleźć kogoś, kto sprzeda mi po kryjomu bystrokamień.

– Jovis...?

Nie rozpoznałem głosu. Był chropawy i niski, nie należał do nikogo, kogo bym znał, tego byłem pewien. Nie unosiłem głowy i garbiłem się tak, że moje policzki chowały się w sierści Mephiego. Kapelusz zakrywał mi niemal całą górną połowę twarzy. Czy na tak małej wyspie również porozwieszano plakaty?

– Jovis! – powtórzył głos z większym naciskiem.

Gdy miałem już nadzieję, że na rynku trafił się inny człowiek imieniem Jovis, czyjaś dłoń chwyciła mnie za rękę i na tyle odsunęła tkaninę zasłaniającą mi tatuaż, że ukazały się królicze uszy.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę.



13

LIN

WYSPA CESARSKA

Wpatrywałam się w konstrukt szpiegowski na półce; zaschło mi w ustach, serce trzepotało w klatce piersiowej niczym ptak w klatce. Musiał wejść przez jedno z położonych wysoko okien. Wysłano go, żeby skradał się nocą po pałacu i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Znalazł to, czego szukał.

Za chwilę pośpieszy z powrotem na dziedziniec, wślizgnie się pod głąz na jego środku, dotrze do legowiska, w którym czaiła się Konstrukt Szpiegów i poinformuje ją, że zostałam przyłapana tam, gdzie nie powinnam przebywać. Ojciec mnie wydziedziczy, a cesarstwo rozpadnie się po jego śmierci. Stanie się wybrakowane.

Tak samo jak ja.

Nie. Zacisnęłam zęby. Nie mogłam pozwolić, by tak się to skończyło.

Poruszyliśmy się jednocześnie – konstrukt w stronę okna, a ja do konstrukt. Osiągnął koniec półki w tym samym momencie, w którym wyciągnęłam rękę.

Przypuszczałam, że zacisnę palce na pustce, ale byłam szybsza niż kiedykolwiek byli Bayan lub ojciec. Złapałam stworzenie za kręty ogon. Zaskrzeczało straszliwym, przenikliwym wrzaskiem, który odbił się echem od ścian i regałów. Zadzwoniło mi w uszach. Na wszystkie wyspy i Bezkresne Morze, przecież obudzi nawet służbę śpiącą w oddzielnym budynku! Przyciągnęłam istotę mocno do piersi i otoczyłam ją palcami. Jej zęby zacisnęły mi się na dłoni.

Zapieкло. Robiłam, co w mojej mocy, żeby nie płakać. Wyszarpnęłam dłoń i owinięłam konstrukt w dolną część tuniki. Wrzeszczał na mnie, dopóki nie zasłoniłam mu też głowy. Wciąż mógł oddychać przez tkaninę. Gdybym go zabiła, gdzie ukryłabym ciało? Mogłabym wynieść je poza tereny pałacowe i gdzieś zostawić albo zakopać.

Ale odłamki nie pobierałyby już życia od swoich byłych właścicieli. Nie musiałyby już tego życia wysysać, żeby napędzać konstrukt. A mój ojciec zawsze chyba się orientował, gdy któraś z jego kreacji umierała.

Powstałoby zbyt wiele pytań. Musiałam na razie zachować konstrukt przy życiu.

Przez głowę przebiegały mi różne scenariusze. Gdybym zatrzymała go w pałacu, zostałabym zdemaskowana. Ojciec nie zachodził często do mojego pokoju, ale zdarzało mu się to, zaś Bayanowi jeszcze częściej – gdy chciał mnie dokądś zaprowadzić albo zdenerwować. Poza tym w budynku przebywały też inne konstrukty szpiegowskie, wiecznie zachowujące czujność.

Do głowy przychodziła mi tylko jedna kryjówka.

Zanim dotarłam do warsztatu kowala, słońce wyłaniało się już zza horyzontu. Wcześniej posprzątałam bałagan w bibliotece i zostawiłam dziennik w swoim pokoju. Wzięłam inną tunikę, żeby owinąć nią konstrukt. Czasu miałam na styk. Ojciec i Bayan zazwyczaj siedzieli do głębokiej nocy i wstawali późnym rankiem, ale nie mogłabym powiedzieć, że zdarzało się tak codziennie.

Krzątania budzącego się miasta tak bardzo różniła się od ciszy panującej w obrębie pałacowych murów. Drzwi otwierały się i zamykały, ludzie mijali mnie w pośpiechu z koszami pod pachami lub workami zarzuconymi na ramiona. Nikt na mnie nie patrzył – na dziewczynę niosącą zawiniątko. Wszyscy koncentrowali się na własnych sprawach. Światło wlewało się złotym blaskiem na ulice, odpędzając niebieskawe cienie pozostałe po wcześniejszym mroku. Nocni rybacy szli od strony przystani otoczeni morską wonią świeżych ryb i kałamarnic. Woda wychłapywała im się z wiader na bruk. Musiałam kilkakrotnie omijać kałuże, zanim dotarłam do celu. W pijalni obok panowała cisza, jej klienci już dawno zniknęli. Warsztat kowalski był zamknięty, ale słyszałam odgłos młoteczka uderzającego w metal.

Zastukałam w drzwi tak mocno, że aż rozboleły mnie knykcie.

Numeen otworzył i zmarszczył brwi, gdy mnie ujrzał.

– Nie powinno cię tu być. Przecież zaglądałaś poprzedniej nocy.

– Wiem – odparłam i wślizgnęłam się obok niego do środka, zanim zdążył mnie powstrzymać. – Przyszłam poprosić o przysługę.

– Nie mogę wyświadczać przysług – odparł, ale zamknął drzwi. Oblałam się potem, gdy tylko się zatrzasnęły. Numeen rozpałił niewielki ogień i pomimo komina oraz otwartego okna w warsztacie było jak w piecu.

– Przysługa za przysługę.

– Odszukałaś mój odłamek kości?

– Ja... nie. – I znów ukłucie poczucia winy. Otrząsnęłam się z niego. Gdy tylko będę miała okazję, znajdę sposób, żeby odzyskać jego odłamek. Na razie musiałam martwić się istotniejszymi rzeczami. Sięgnęłam do kieszeni szarfy i wyciągnęłam bystrokamień, który podebrałam z zapasów ojca.

Oczy Numeena powiększyły się na ten widok. Handel tą substancją był w cesarstwie ściśle regulowany. Nikomu nie wolno było jej kupować ani sprzedawać bez wiedzy i zgody cesarza. Słyszałam jednak raporty Konstruktu Handlu. Ioph Carn kradli i sprzedawali bystrokamień, podobnie jak kilka innych grup. Jeśli ktoś zdołał dostać go w ręce, zawsze istniał sposób, żeby sprzedać towar.

– Czego ode mnie oczekujesz?

Zawiniątko pod moją pachą drgnęło, jakby wiedziało, że o nim mówimy.

– Złapałam konstrukt szpiegowski – powiedziałam. – Nie mogę go zabić, bo mój ojciec by się zorientował. Potrzebuję miejsca, w którym mogę go przechować, dopóki to wszystko się nie skończy. Mógłbyś zrobić dla niego klatkę? I przechować go gdzieś w swoim warsztacie?

– Jeśli cesarz się dowie, będę martwy. Cała moja rodzina również.

– Zatem pomyśl o swojej rodzinie i o tym, co mógłbyś dla niej zrobić, gdybyś sprzedał ten bystrokamień. Nie trzeba go trzymać wiecznie, poza tym będę co jakiś czas wracać, by sprawdzić, co z nim.

– I przynosić kolejne klucze – rzucił zrezygnowanym tonem. Tak wyglądała prawda i patrzyłam, jak na jego twarzy powoli maluje się zrozumienie. Nie mógł teraz tak po prostu zrezygnować. Wraz z tym pierwszym kluczem związał ze mną swój los.

Podalam mu zawiniątko ze szpiegiem. Wił się, ale w rękach kowala zamarł. Obserwowałam oblicze mężczyzny, nie wiedząc, co powie. Mój ojciec mógłby wyliczyć wszystko, co Numeen zyskiwał na tym układzie. Mógłby mu po prostu podziękować. Zastanawiałam się, jak dobry w odczytywaniu twarzy był ojciec albo czy po prostu go to nie obchodziło, bo w Numeenie zauważałam coś więcej niż tylko zrezygnowanie. W jego zaciśniętych ustach, zmarszczonych brwiach i milczeniu rozpoznawałam urazę.

– Przepraszam – wypaliłam, zanim zdążyłam się powstrzymać. Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Mimo to czułam wyrzuty sumienia. – Gdybym mogła obyć się bez twojej pomocy, zrobiłabym to.

– A co właściwie planujesz?

Zostać cesarżową. Zasłużyć na szacunek ojca. Te wyznania nigdy się ze mnie nie wydostaną. Zakradałam się, podbiebrałam klucze, próbowałam odkrywać sekrety ojca po to, by móc dowieść mu mojej wartości, choć byłam wybrakowana. Zawsze lękałam się, że może umrzeć, nie zdradzając mi wcześniej swoich tajemnic i zostawiając mi jedynie gorzkie słowa. Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić, więc zamiast tego rzekłam:

– Przetrwać.

Numeen przytaknął i zasłonił okno. W środku zrobiło się jeszcze gorzej, a ogień zabarwił wszystko na czerwono i żółto.

– Wróć, gdy będziesz potrzebowała następnego klucza.

Umknęłam z warsztatu. Dzwonek zabrzączał, gdy zatrzaśkiwałam za sobą drzwi. Na ulicach zrobiło się już jaśniej, delikatny pomarańczowy blask latarni ustępował braskowi. Wkrótce służba zabierze się do pracy.

Nie zatrzymywałam się, żeby odpocząć. Biegłam ulicami, omijając gburowatych, zaspanych mieszkańców przygotowujących się do czekającego ich dnia, trzymających pod

pachami kosze lub szybkimi dmuchnięciami gaszących lampy. Byłam wkraczającą na scenę tancerką, która jest spóźniona o cztery kroki, dezorientuje tych, którzy już się na niej znajdują i nie może znaleźć swojego miejsca.

Nie miałam czasu, by przemykać do wejścia dla służby. Gdy wspinałam się znów po murze, pilnujące go konstrukty przyglądały mi się, ale nie ogłaszały alarmu. Ruszyłam do pałacu po dachu, starając się stąpać miękko i cicho po dachówkach. Pod sobą widziałam kilkoro służących zamiatających puste ścieżki tego otoczonego murem, miniaturowego miasta, bądź też noszących wiadra z wodą ze studni do pałacu. Wszystkie zewnętrzne budynki pozostawały puste – wolne od kurzu, lecz z popękaną i wyblakłą farbą. Pewnego dnia znów ożyją, gdy zostaną cesarzową.

Zanim dotarłam do właściwego pałacu, słońce wzniosło się już nad portem. Światło lśniło w morzu, zdobiąc każdą falę iskrzącymi się klejnotami. Ptaki morskie zaczęły się nawoływać. Tu, w pałacu tkwiącym u stóp gór, czułam się nieco odizolowana od wody. Nie miałam jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Znalazłam okno na przeciwległym krańcu budynku, zsunęłam się z dachu i wślizgnęłam do środka.

W drodze do mojego pokoju widziałam kilka konstruktorów – handlowych, wojennych i biurokratycznych – idących złożyć raport swoim zwierzchnikom. Nie stanowiłam obiektu ich zainteresowania, więc nie zwróciły na mnie uwagi. Mimo to odetchnęłam swobodniej dopiero wtedy, gdy zamknęłam za sobą drzwi.

Dziennik i książka z rozkazami dla początkujących leżały tam, gdzie je zostawiłam, wsunięte pospiesznie pod łóżko. W jednym krył się klucz do mojej przeszłości, w drugim do przyszłości. Przesunęłam dłońmi po okładkach. Tu, w ciszy mojej komnaty, w głowie znów rozbrzmiały mi słowa Numeena.

Co właściwie planowałam?

Konstrukt szpiegowski pokazał mi to wyraźnie: nie mogłam siedzieć z założonymi rękoma i czekać na śmierć ojca z nadzieją, że jeśli nauczę się wystarczająco wiele, wybierze mnie na swoją dziedziczkę. Wiązało się z tym tyle zmiennych, tyle rzeczy mogło pójść nie tak. Przynajmniej tego nauczył mnie ojciec: nie polegaj na tym, czego nie możesz kontrolować.

Musiałam przejąć kontrolę.

Potałam zieloną płócienną okładkę dziennika, pragnąc pochłonąć zawarte w nim informacje. Niechętnie odłożyłam go i sięgnęłam po książkę z rozkazami. Będzie czas na jedno i drugie, ale na razie musiałam ustalić priorytety.

Ojciec władał cesarstwem przez pośredników, całą władzę i polecenia przekazał swoim najbardziej złożonym konstruktorom: Ilith – Konstruktorowi Szpiegów; Uphilli – Konstruktorowi Handlu; Maudze – Konstruktorowi Biurokracji; oraz Tirangowi – Konstruktorowi Wojny. Przyszło mi do głowy, że może właśnie dlatego tak zazdrośnie strzegł sekretów swojej magii.

Gdybym była wystarczająco sprytna, mądra i ostrożna, mogłabym przepisać rozkazy zapisane w ich odłamkach. Mogłabym sprawić, żeby stały się moje. Ojciec uważał mnie za wybrakowaną. Miałam luki w pamięci. Wiedziałam jednak, kim byłam teraz. Byłam Lin. Byłam córką cesarza.

I pokażę mu, że nawet wybrakowane córki potrafią posługiwać się władzą.